ZEMSTA

JAN KORWIN

ZEMSTA

NOWELA

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ — WARSZAWA — WILNO — LUBLIN
1925

Printed in Poland

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA W POZNANIU.

Na stromym, wysokim, bujną zielonością pokrytym brzegu Niemna, niedaleko od ujścia tegoż do Baltyku, widne były, na kilka mil wokoło, czerwone mury olbrzymiego zamczyska. Wysokie, z grubej cegły, dumnie w górę sterczące baszty stanowiły narożniki całej masy, zamkniętych między niemi i ściśle z sobą połączonych budowli, świecących na wsze strony szeregami wysokich, ostro zakończonych okien. Z wierzchołka każdej baszty powiewała biała chorągiew, z dużym czarnym krzyżem wpośrodku.

Ten symbol wiary i odkupienia, szeleszczący na silnym wiatru powiewie, chciał, zdało się, ulecieć ku niebu, by zniżony ku ponurym, mordem, krwią i pożogą tchnącym murom zamczyska,

nie służyć obłudnie mieszkańcom tegoż za płaszczyk niecnych i zbójeckich czynów, pod godłem jego popełnianych.

Od wielu lat bowiem kamienny ten kolos, siedlisko Braci Krzyżowych, był postrachem i ciągłą groźbą ziem okolicznych, które jak pająk ku sobie motał, i bądź mieczem, bądź zdradą, pod swe podbijał panowanie.

Święta Żmudź, wierna swym, w głębi olbrzymich dębowych lasów żyjącym bogom, mężnie broniła się przeciw zuchwałym najeźdźcom, niosącym jej pod godłem krzyża, zagładę i zniszczenie. Ziemia krwią przesiąkła; na całym zaś jej obszarze, jak okiem sięgnąć, widne były zgliszcza i ruiny.

Odwieczne puszcze, dostępne tylko dla dzikiego zwierza, dawały teraz schronienie tym, co z boju z życiem uszedłszy, chowali się pod opiekuńcze olbrzymich drzew konary. I tu jednak majestatyczna cisza boru rozbrzmiewała

nierzadko wojenną surmą, szczękiem oręża, rozpaczliwemi krzyki ściganych, jękami i rzężeniem konających a bez miłosierdzia dobijanych Żmudzinów.

Cała ta kraina, miodem i mlekiem do niedawna płynąca, pod żelazną, mieczem zbrojną dłonią krzyżactwa, w ciężkiej jęczała niewoli. Tam, gdzie niedawno jeszcze na zielonych sędziwego Niemna wybrzeżach rozbrzmiewały pienia wajdeloty, gdzie płonęły stosy ofiarne dla Perkuna i innych bóstw dobroczynnych, gdzie słychać było szerokie tchnienie wolnej i szczęśliwej ziemi, — tam dziś nic, prócz płaczu i jęku nie posłyszysz, nie ujrzysz wesołego oblicza krainy tej mieszkańca, nie dostrzeżesz nigdzie na szerokim horyzoncie spokojnej, sielskiej zagrody; miast tego zobaczysz zgliszcza i ruiny, a oko twe będzie przerażone widokiem skutych łańcuchami niewolników, wzmacniających w ciężkim znoju okopy zamkowe. Im więcej zaś zbrodni i okru-

cieństw spadało na okolicę, im więcej krwi Niemen w swych nurtach unosił, im więcej łun naokół świeciło, — tem bardziej, zdało się, olbrzymiał zamek, tem więcej rozszerzał się jego potworny kadłub, podobny do smoka, śmiercią i zniszczeniem ziejącego.

Pan jego i władca, dumny komtur, Albrecht von Hohenlingen, krwiożerczy i chciwy, pyszny i zuchwały, nie znał granic okrucieństwa, ni pożądliwości. Coraz wyciągał z jaskini owej pazury, maczając je we krwi, szerząc zniszczenie ogniem i żelazem. Coraz zagarniał, podstępem lub siłą, nowe ziemi kawały, mordując mężów, hańbiąc niewiasty, paląc, na żywym ogniu, starców i dzieci. Żmudź prawie całą pod stopy swe podbił, gniotąc bez litości; wytępił doszczętnie nieomal dzielnych jej obrońców.

A jednak na czole jego widniał gniew i troska, serce trawiła zmora niepokoju, prawica zaś ściskała, z wściekłością,

głownię olbrzymiego miecza. On — komtur na tym groźnym zamku, pogromca dzikich Żmudzinów, zmagał się już od lat kilku z kniaziem z Raudania, i — o, hańbo — dotąd bezskutecznie. Próbował różnych sposobów: uderzał niejednokrotnie, ze znacznemi zastępy, na zameczek kniazia; urządzał ustawiczne zasadzki w lasach.

Napady były jednak zawsze mężnie odpierane; w zasadzki zaś owe wpadali zazwyczaj sami Krzyżacy, ponosząc ciężkie klęski. Nie na obronie tylko poprzestawał waleczny kniaź Kiejstut. Lwie jego serce dyszało nieubłaganą nienawiścią ku ciemiężcom tej ziemi rodzicielki, gwałcicielom wiary i swobody jego ziomków. Wielu krewnych i przyjaciół kniazia skonało pod toporami rycerzy krzyża. Wielu z nich, oślepionych, zginęło męczeńską śmiercią w podziemiach okropnego zamczyska. To też kniaź poprzysiągł swym bogom, iż potąd nie

spocznie i miecza z swej dłoni nie wypuści, pokąd nienawistnego mu plemienia nie zgnębi. Ostatni zaś komtur, Albrecht von Hohenlingen, morderca jego braci i synów, zapuścił w duszę kniazia najsilniejsze ziarno i pragnienie zemsty.

Nic więc dziwnego, że komtur, równą ku niemu pałający nienawiścią, drżał jednak, w głębi serca, na myśl o strasznym mężu, który, dzięki swej nadzwyczajnej sile, porywał nieraz oburącz najtęższych rycerzy, i, ciskając na znaczną odległość, jak wicher, gdy liście jesienne miecie, rozmiażdżał nieszczęsnych wraz ze zbroją. Nie zostawiał on komturowi chwili spokoju; gnębił go dniem i nocą, zjawiał się zawsze niespodziewanie, spadał jak piorun na blednących z przerażenia Krzyżaków; przelatał jak huragan po ich stalowych szeregach, łamiąc, druzgocząc, wywracając ludzi i konie i, nim kto miał czas się zastanowić i o obronie

pomyśleć, — on, straszny, a nieuchwytny znikał równie nagle, jak się zjawiał.

Sama postać kniazia, olbrzymia i przerażająca, jak głębie puszcz okolicznych, rzucała popłoch i trwogę wśród nieugiętych jego wrogów. Mało kto z zamku odważał się wychylić inaczej, jak w silnym orszaku. Pojedyńczy zaś jeźdźcy, a nawet mniejsze oddziały, szukające łupu w okolicy, ginęły zazwyczaj jak kamień, na dno Niemna rzucony, przepadając bez śladu.

Wiedział komtur dobrze, czyjem to było dziełem. Nieraz bowiem, gdy straż na wałach zamkowych drzemała, znużona długiem czuwaniem, budził ją nagle brzęk mieczów, jęki wijących się już na ziemi, w przedśmiertnych kurczach, towarzyszy, i rozpaczne wołanie o pomoc; nim zaś ta z zamku nadbiegła, nie było już na wałach nikogo. Zbielałe tylko wargi konających knechtów szeptały, jak śmierć straszne, imię księcia na Raudaniu.

Znękany i zgnębiony, nie mający chwili spokoju, Albrecht von Hohenlingen zmuszony był ostatecznie po długich walkach i krwawych a bezsilnych zapasach błagać kniazia o zawieszenie broni. By zaś upamiętnić tę chwilę i utrwalić zawarte przymierze, komtur prosił dzielnego kniazia, wraz z całą jego mężną drużyną, do zamku na ucztę.

. . . . . .

W oznaczonym dniu, przy biciu w bębny i kotły, wjeżdżał w mury zamkowe, po spuszczonym, zwodzonym moście, liczny orszak najdzielniejszych kniazia towarzyszy.

Zbrojni w żelazne i miedziane tarcze i pancerze, w wysokich futrzanych kołpakach na głowach, z ogromnemi dzidami w rękach, mieczami przy bokach, łukami i kołczanami na plecach, na małych swych kosmatych konikach — rycerze ci nie czynili bynajmniej wrażenia

owych srogich, a tak dobrze znanych Niemcom wojowników, zwłaszcza wobec zakutych od stóp do głów w stal postaci Krzyżaków. Kto jednak spojrzał na owe groźne, długiemi brodami zarosłe oblicza Żmudzinów, na ponure błyski w ich oczach, szerokie bary i ramiona, ten zrozumiał, dlaczego ci niestraszni napozór mężе przejmowali taką trwogą serca owych żelaznych rycerzy.

Z chytrym na twarzach uśmiechem spoglądali Krzyżacy na swych gości.

Na czele orszaku, na białym dorodnym koniu, wyróżniającym się wielkością swoją wśród innych, jechał mężczyzna równie olbrzymiej budowy, staranniej i bogaciej od reszty towarzyszy przybrany.

Na głowie jego, tuż nad schodzącemi się krzaczastemi brwiami, widniał wysoki kołpak sobolowy, ozdobiony czaplą kitą. Wypukła pierś pokryta była stalowym pancerzem, z pleców zaś spadała

wspaniała rysia skóra, spięta na przodzie złotą klamrą. Szeroki miecz z dużą głownią, drugi znacznie krótszy oraz ciężki topór stanowiły uzbrojenie.

Gdy drużyna ta, z kniaziem na czele, przejechawszy most zwodzony, kilka bram i idących za niemi pomniejszych podwórek, znalazła się nareszcie na obszernym dziedzińcu, stanowiącym sam środek twierdzy, — z kamiennej galerji dały się słyszeć rozgłośne dźwięki trąb, litaurów, puzonów, na stopniach zaś schodów, w głąb komnat zamkowych prowadzących, ukazał się komtur w otoczeniu starszych braci, w białym płaszczu z czarnym krzyżem na piersiach.

— Cześć i chwała dostojnemu panu, którego, sercem radosnem, w progach skromnej siedziby naszej witać nam przychodzi — ozwał się komtur, zbliżając się do kniazia, który tymczasem zeskoczywszy z kulbaki, ku niemu z powitaniem się zwrócił.

— Czy skromna siedziba, nie wiem — skromnych natomiast gości podejmować jej przychodzi.

— Pokora jest znamieniem mężów nieustraszonych i szlachetnych, a tobie, kniaziu, podobnych. Niechaj najwyższy Pan nasz i bogowie wasi, którym cześć oddajecie, to sprawią, by przyjaźń twa, miły druhu, jakiej utrwalenie dziś obchodzimy, a którą wielce sobie cenimy, na zawsze zachowaną nam została.

— Na Perkuna! — wyrzekł kniaź z pewnem niedowierzaniem — miłe nam są gładkie słowa waszej miłości, byleby były szczere, jak ta stal — dodał, uderzając potężną dłonią po głowicy miecza. — Oto druh mój najserdeczniejszy, oddaję ci go, szlachety rycerzu, na znak mego zaufania — mówił, odpasując od boku miecz i składając go w wyciągnięte chciwie, jak po zdobycz, ręce Krzyżaka.

— Jestem na twojej łasce teraz, komturze.

— Miłym gościem i sprzymierzeńcem tylko będzie nam wasza cześć — odparł Albrecht, a na spasłem jego obliczu chytry i radosny zarazem zaigrał uśmiech.

Za przykładem władyki, Żmudzini oddawać zaczęli swe dzidy, topory i miecze knechtom, którzy, wyroiwszy się z różnych drzwi i zabudowań, zewsząd obstąpili ich kołem, witając na wzór swych panów, serdecznie, acz z mniej wytworną grzecznością.

Po chwili cała drużyna kniazia, z wyjątkiem najprzedniejszych, zasiadła na tymże dziedzińcu, wokół zastawionych stołów, uginających się pod ciężarem wielkich mis cynowych, na które uwijająca się służba kładła, przynoszone ciągle z kuchni, olbrzymie udźce baranie i wieprzowe; silny zapach korzeni rozchodził się od nich naokół, mile łechcąc powonienie. Opodal stołów, na ziemi, stały liczne beczki z miodem i piwem, pod dozorem podczaszych; będący na ich

usługach mali chłopcy roznosili między gości ustawicznie napełniane kubki.

W miarę, jak ubywało jadła z mis, a trunków z beczek, wzmagała się wesołość i rozwiązywały języki. Śmiechy, śpiewy i toasty coraz głośniejszem rozbrzmiewały echem. Żołdactwo nie szczędziło grubych i rubasznych żartów. Więcej podochoceni zaczęli wzajemne wynurzenia, oblewając je suto miodem i piwem; oczy poczynały się iskrzyć, oblicza zarumieniać, pięście silniej uderzać o stoły.

Usposobienie to udzielało się coraz większej liczbie gości, którzy, z małomównych i ponurych, stawali się coraz bardziej wylanymi, coraz serdeczniej usposobionymi względem wczorajszych swych wrogów. Wrzawa, hałas, wybuchy śmiechu wzrastały stopniowo, przechodząc od jednych do drugich stołów. Żmudzini z Krzyżakami pospołu zawodzili pieśni, śpiewane po żmudzku i niemiecku. Nikt na to jednak nie zważał,

każdy chciał bowiem przekrzyczeć swego sąsiada. Niektórzy odpinali ugniatające ich pancerze, odrzucając je precz, w miarę, jak pod wpływem libacji, krew napływała do głowy. Uniesienie stawało się powszechnem.

Ucztujący biesiadnicy nie spostrzegli nawet, jak zachodzące słońce wypełniło stopniowo promieniami swemi wnętrze dziedzińca, zalewając czerwone mury ostremi blaski. Pod wpływem ich budowle, podwórze okalające, nabierały koloru krwi, nieobcej, zda się, tym miejscom. W miarę jak promienie te gasły, czerwienna barwa murów szarzała coraz bardziej; złowrogie cienie zaczynały padać na ziemię i budowle, zasnuwając ciemnościami atmosferę, przepełnioną do niedawna złotym blaskiem zachodu. Od murów tych popłynął wtedy ku stołom jakiś niewidzialny, zimny prąd, który zdawał się kłaść chłodne swe dłonie na rozpalonych głowach biesiadników.

Krótki, acz wstrząsający dreszcz przeniknął na chwilę ciążącemi już, pod wpływem trunków, i zwisającemi ku stołom ciałami Żmudzinów.

Niebawem jednak wrażenie to, z którego nikt nie zdawał sobie sprawy, przeszło równie prędko, jak przyszło, ustępując miejsca większemu jeszcze rozochoceniu. A gdy na dziedzińcu zabłysły smolne pochodnie, powtykane w ziemię, oblewając jaskrawą łuną wypróżnione misy i kubki, a knechty powytaczali z piwnic nowe beczki, przelewając zawartość ich w czasze — uniesienie zmieniło się w szał, okrzyki w wycie i ryki, a uczta w pijaną i rozpasaną orgję!

. . . . . .

Podczas gdy na podwórzu zabawiali się w ten sposób prości wojownicy i słudzy, w biesiadnej sali zamku ugaszczali Krzyżacy kniazia i znakomitszych jego towarzyszów.

Wsparta na grubych kamiennych filarach, o wysokiem, półokrągłem sklepieniu, oświetlona licznie rozrzuconemi kagańcami, — olbrzymia ta sala imponujące acz ponure robiła wrażenie. Śmiało biegnące w górę, wykute w kamieniu jej linje, duże łukowate okna — mówiły o sile, prostocie i wynikającej z połączenia dwóch tych zalet, — potędze, o nieugiętości serc i ramion mieszkańców tej siedziby. Porozwieszane zaś na wszystkich ścianach miecze najrozmaitszej wielkości, hełmy, pancerze, kolczugi, napierśniki, oraz całkowite zbroje — stwierdzały jeszcze, zdało się, te zalety.

A jednak widok tej, nawskroś rycerskiej, godłami szlachetnego rzemiosła ozdobionej sali, nie umacniał bynajmniej ducha kniazia, lwiemu sercu którego godła te najsnadniej odpowiadać, a nawet radować je mogły. Czuł on mimowoli w atmosferze tej komnaty, przyodzianej w insygnja otwartego boju i szlachetnych

poczuć, skrywającego się podstępnie ducha zbrodni i obłudy, fałszu i przeniewierstwa. Ten sam wyraz dostrzegał na obliczach gospodarzy, usiłujących pozorami wszelkiej serdeczności rozweselić zazwyczaj ponurego i milczącego ich gościa. Kniazia nie ujmowała jednak zbytnia ta uprzejmość; nie rozweselała ani bogata zastawa stołu, obciążonego srebrnemi talerzami i ozdobnie cyzelowanemi puharami, napełnionemi wyśmienitym, z nadreńskich winnic sprowadzonym płynem, ani misternie przez zamkowego kuchmistrza sporządzone potrawy. Kniaź czuł się dziwnie osamotnionym, wpośród zgromadzonych wokół stołu, wrogich sobie postaci, których białe płaszcze odbijały świetlanemi smugami na tle ciemnych murów.

— Waszej miłości nie cieszy snać, ni zawarte z nami przymierze, ni radość nasza z tego powodu? — zapytał komtur kniazia.

— Zadowolenie me, dostojny panie, ujawni się w całej pełni wtedy, gdy bieg czasu o trwałości sojuszu tego i przyjaznych uczuć waszych mnie przekona. Dziś jest to dopiero ziarno, rzucone na glebę: da li ono płód zacny uczciwej miłości, albo li chwast bujniejszy jeszcze, niż dotąd, nienawiści, — Perkun jeden wiedzieć o tem może. Nie dziwcie się przeto, zacni rycerze, iż, dbały o wzrost tego ziarna, w sercach naszych kiełkującego, tak pochopnie wesela waszego dzielić jeszcze nie mogę.

— Zasmuca nas niepomiernie, szlachetny kniaziu, wasza nieufność — odparł na to siedzący obok komtura, główny jego wyręczyciel, Siegfried von Rothenthurm, spasły Krzyżak, znany na całej Żmudzi ze swych okrucieństw; na obliczu jego widniała srogość i drapieżność, ustępująca w chwili tej miejsca wyrazowi fałszu i obłudy. — Gdy nam serca radością wzbierają, gdy, chcąc dać ujście

dzisiejszemu, z pozyskania przyjaźni tak dzielnego męża, szeroko płynącemu uszczęśliwieniu, wesoło dzwonimy w czaszę, pragnąc na dnie jej utopić wszystkie niesnaski i waśnie, Wy, miłościwy panie, chcecie, zda się, zamrozić nasze, pałające ku wam miłością serca, i pochmurnem obliczem zatruć radość dnia obecnego! Odrzućcie precz trapiącą was zmorę niewiary, zaufajcie raz wyciągniętym ku wam przyjaźnie dłoniom! Wierzajcie mi, nie kłamią rycerze krzyża, którego znak na piersiach i w sercach swych noszą! No, kniaziu, na wzajemną naszą, a nierozerwalną drużbę, wychylcie tę czaszę! — zawołał, powstając, i zwrócony do kniazia z olbrzymim puharem w ręku, napełnionym złocistym, mieniącym się płynem, wychylił go jednym nieomal łykiem, i znów napełniony oddał w ręce kniazia.

— Oby słowa waszej miłości prawdą niebawem się stały — odpowiedział

kniaź, i toast również jednym haustem spełnił.

Z surowego i ogorzałego jego oblicza nie zniknął jednak wyraz nieufności, co widząc Krzyżacy, coraz to nowe wznosili wiwaty, na które kniaź, acz niechętnie, odpowiadać musiał.

Ostremi zaś i silnie woniejącemi korzeniami zaprawne udźca dzików i sarniny, dymiące na srebrnych półmiskach, drażniły jeszcze gardła biesiadników, skłaniając ich do ustawicznego wypróżniania misternie cyzelowanych czaszy.

To też wino lało się strumieniem, wywołując coraz żywsze rumieńce na twarze i niecąc błyski w oczach. W miarę jak mocny trunek krew zagrzewał i do szybszego pobudzał ją obiegu, w pierwotnych tych naturach budziła się coraz silniejsza, żywiołowa nieomal potrzeba zużycia nadmiaru energji i siły, jaka zdawała się tryskać z tytanicznych, odświętną lekką tkaniną osłoniętych mięśni: to

też ruchy stawały się coraz żywsze, słowa głośniejsze i dobitniejsze.

Każdy nieomal, chcąc dać ujście ogarniającemu go coraz bardziej poczuciu tężyzny, a nie mogąc wyrazić tegoż pchnięciem włócznią, ni też cięciem miecza, jakiemby pewnie rozciął przeciwnika na dwoje, — w braku włóczni, lub topora, chwytał bądź gruby, srebrny kubek, mnąc go w dłoni, bądź też zwijał w trąbkę srebrne talerze, bądź też zginał siłą uderzenia i rozprostowywał następnie, na wyprężonych muskułach ręki, grube żelazne pręty. Inni nakoniec, popisując się krzepkością swych dłoni, gięli w palcach srebrne monety, lub łamali przyniesione w tym celu podkowy.

Kniaź, którego potężna postać górowała nad stołem, przyglądał się w milczeniu z uśmiechem pogardy na ustach, chełpliwym tym popisom.

Nie uszło to uwagi wielkiego chorążego, Ottona von Dannesmark, wysokie-

go, chudego i żylastego Niemca, który odznaczał się tak wielką siłą, że głaz, leżący na brzegu Niemna, jakiego czterech ludzi z miejsca ruszyć nie mogło, pochwyciwszy sam oburącz, z ogromnym rozmachem na drugi brzeg przerzucił. Dostrzegłszy więc teraz ironiczny śmiech kniazia, powstał, aż zatrzęsła się ława, skinął na knechta, który w mgnieniu oka podał mu żelazny łańcuch o ogniwach, wielkości sporych orzechów, i zwracając się do kniazia, wyrzekł:

— Śmieszną snać wydaje się wam, miłościwy panie, moc naszych ramion, byście o niej zwątpić i zapomnieć nie chcieli, patrzcie oto, jak niemieckie dłonie kruszą ukute nawet w ogniu żelazo.

I z temi słowy poszarpał łańcuch na oddzielne ogniwa, które padając na kamienną posadzkę, z brzękiem potoczyły się pod nogi kniazia.

Wypadek ten zwrócił ogólną uwagę.

Na chwilę przycichł gwar rozmów, a oczy wszystkich pobiegły ku kniaziowi. Oczekiwano z ciekawością, co powie i zrobi ten ponury, nienawistny im Żmudzin, którego dowody strasznej, nieludzkiej prawie siły aż nazbyt dobrze były im znane.

— O sile waszej nie wątpię, ani też śmiałbym z niej szydzić — odparł kniaź — widzę nawet, że mocną dłonią potraficie zrywać złączone razem ogniwa; nie sądźcie jednak —dodał groźniejszym tonem — byśmy o tem zapomnieć, alboli tej druzgocącej wszystko siły waszej znamieniem strachać się mieli. Stanie jeszcze świętej Żmudzi ramion do odparcia godzących w nią ciosów.

To mówiąc, rzucił okiem naokół, a dostrzegłszy, wiszący na ścianie, gruby, kowany pancerz, pochwycił go ruchem szybkim i, łamiąc w potężnych swych dłoniach, bez żadnego wysiłku, na drobne pokruszył kawałki.

Ten nowy dowód potężnej mocy, wywołując osłupienie w gronie Krzyżaków, bez żadnej pozostał odpowiedzi.

Próżno komtur i wielki chorąży wodzili okiem po szeregach białych płaszczów, szukając męża, któryby nowym, a równym dowodem siły, utrzymał honor Zakonu. Wszyscy jednak milczeli, nikt nie poczuwał się snać do sprostania kniaziowi.

Widząc to podczaszowie, i pragnąc zatrzeć ten niemiły nastrój, tem usilniej poczęli napełniać puhary, które, po chwilowej przerwie, gęściej jeszcze krążyły dokoła, wywołując na nowo powstałą wrzawę, pobudzając do coraz głośniejszych śmiechów i okrzyków, coraz mocniejszych pięściami o stół uderzeń, coraz bardziej rozpasanych objawów zadowolenia i wesołości.

Hałaśliwa i nieznośnie brzęcząca orkiestra, pomieszczona na chórze, potęgowała jeszcze ten iście piekielny rozgar-

djasz, napełniając salę to przeraźliwemi, rozdzierającemi uszy dźwiękami trąb i puzonów, to ogłuszającemi uderzeniami w miedziane kotły i bębny. W tem istnem piekle, sąsiad z trudnością słyszał najbliższego sąsiada, nie mówiąc o dalszych rozmowach, które, wraz z tonami orkiestry, brzękiem mis i puharów zlewały się w jedną, potężną, gdyby wichrem na wzburzonych falach morskich huczącą burzę!

Pomimo jednak, że biesiada doszła do tego stopnia powszechnego podniecenia, pomimo, że z jednej i drugiej strony, biegnącego wzdłuż sali stołu, widniały tylko rozognione twarze i błyszczące oczy, a w atmosferze sklepionej komnaty unosiły się opary gorących oddechów, — otaczający kniazia dostojnicy krzyżaccy nie spuszczali na chwilę nawet zeń oczu. Nie przestając dolewać mu wina, ni też zabawiać go opowiadaniem wojennych i łowieckich swych

przygód, coraz to obrzucali się porozumiewawczemi spojrzeniami, dając to sobie, to siedzącym w końcu stołu rycerzom szybkie, niedostrzegalne prawie, znaki. Ci podnosili się niebawem i, niepewnym krokiem, zdążali ku wyjściu; poczem wracali po chwili, rzucając znowu wzrokiem w stronę komtura.

Albrecht i Siegfried, zatapiając w kniaziu wzrok przenikliwy, spoglądali po sobie, zerkając przytem nieznacznie w stronę okien, któremi płynęła do sali wrzawa biesiadujących na dziedzińcu.

Szybkie te, ukradkowe spojrzenia, zagadkowe ruchy, niespokojny, jakby wyczekujący czegoś wyraz ich twarzy, o lisim wyglądzie, którego, mimo słodkiego uśmiechu, pokryć nie mogli, zwrócił nakoniec uwagę kniazia.

Mimo licznych puharów, jakich mu nie oszczędzano, a które zmuszony był wychylać, dostrzegł on jednak niemą rozmowę obłudnych swych amfitrjonów.

Nagły niepokój zatargał jego sercem. Postanowił mieć się na baczności. Nie dając też nic poznać po sobie, z pozornie ciążącą głową i zmrużonemi oczyma, zasłuchany jakby w opowiadania swych sąsiadów, kniaź zebrał się w sobie, jak ryś do skoku gotowy, skupiając się cały we wzroku i słuchu.

Po chwili spostrzegł, że wszyscy niemal biesiadnicy, nie przestając huczeć i hałasować, prostowali się zwolna, spoglądając po sobie. Komtur zaś i inni bracia, coraz niespokojniejsi, hamowali się z widocznym wysiłkiem. Dochodząca z dziedzińca wrzawa, wzrastając coraz bardziej, coraz więcej zaczynała niepokoić kniazia.

Wtem, mimo panującego w sali gwaru, do uszu jego doleciały dziwne jakieś odgłosy: coś, jakby brzęk oręża, jakby wołanie o pomoc, jakby stłumione jęki.

Niepokój wybił się na obliczu kniazia; widząc to, Krzyżacy usiłują gwałtem odwrócić uwagę jego od okna; podejrzane

odgłosy stłumić podnoszonym sztucznie gwarem. Echa te jednak z każdym potężnieją momentem, przechodząc coraz to bardziej i bardziej w rozpaczne wołania i jęki.

Kniaź, rzutem nagłym, zrywa się od stołu i podbiega ku oknu.

Oczom jego straszny przedstawia się widok: Na dziedzińcu, oświetlonym krwawo migocącem światłem pochodni, wokół biesiadnego stołu, zacięta wre bitwa. Białe płaszcze, z mieczami i nożami w rękach, rzucają się, jak sępy, na bezbronnych i trunkiem oszołomionych Żmudzinów.

Nagłością napadu zaskoczeni — niektórzy padają rażeni, gdyby gromem, bluzgając krwią na poprzewracane dzbany i misy; poniektórzy bronią się rozpacznie zębami, pięściami i nogami; poniektórzy leżą już martwo, powiązani powrozami. Knechty rzucają zdala w ciżbę

beczkami i smolnemi pochodniami, uniemożliwiając obronę.

W rogach dziedzińca, trzeźwiejsi, zbici w małe gromadki, bronią się zaciekle, jak stado odyńców, przed następującą nań sforą ogarów. Pod uderzeniami jednak długich mieczów i kopij, rozsypują się stopniowo;kto pada na ziemię, czuje natychmiast, na piersiach, ciężar dławiących go kolan krzyżackich; na gardle zaś — zimne noża ostrze...

Stos trupów piętrzy się z każdą chwilą, zaścielając dziedziniec. W górę wzbijają się rzężenia i jęki konających, wleczonych za nogi, po bruku podwórza, ku zamkowym fosom...

Straszny ten widok błyskawicą mignął przed rozwartemi oczyma kniazia.

— Ha! zdrajcy nikczemni —ryknął jak tur, i szybki, jak piorun, zmiażdżył jednem potężnem uderzeniem pięści, czaszkę stojącego przy nim Siegfrieda.

Krzyżak bez jęku runął na posadzkę.

Nim zdumieni nagłym tym rzutem Niemcy, zdołali skoczyć ku niemu, już, porwawszy oburącz ciężką dębową ławę, zamachnął nią tak straszliwego młyńca, że, odurzeni, pokotem legli na ziemię. Kniaź tymczasem, ze wzniesioną nad głową ławą, szedł przez salę, jak burza, i, jak burza obala w swym pędzie największe drzewa, tak i on miótł na ziemię uciekających w popłochu, przed szalonym mężem, Krzyżaków. W chwili jednak, gdy, zakręcając ławą nowego młyńca, pochylił się naprzód całym ciężarem, — zawadził nogą, o leżący na podłodze dzban, potknął się i upadł.

Moment ten wystarczył, by niektórzy, z powalonych przez kniazia, lecz nie zabitych Krzyżaków, mieli czas podnieść się na nogi, i, z pomocą nadbiegłych na ratunek ich współbraci, rzucić się na leżącego, nie dając mu powstać z ziemi.

Próżno, rozpaczliwemi wysiłki, starał się oswobodzić z tych uścisków i miotał na wsze strony; walka stała się nierówną; miasto strząśniętych z siebie, potężnem mięśni poruszeniem, oprawców, którzy odpadali, jak odpadają za wiatru podmuchem żołędzie z dębu konarów, — nastawali coraz to inni w przemagającej sile; jeszcze kilka tytanicznych wysiłków ze strony kniazia, jeszcze kilku odrzuconych śmiałków, a opór coraz słabszym się staje; nakoniec pokryty kupą spiętrzonych na nim ciał krzyżackich przeważnej ulegając przemocy, — kniaź, jak ranny niedźwiedź, gdy go psy rozjuszone przypadną, daje się skrępować powrozami i tak obezwładniony, wtrącony zostaje do zamkowych podziemi.

Ucztujący wraz z kniaziem jego towarzysze, którzy, wobec podstępnego napadu, chwyciwszy wiszące na ścianach miecze, srogie temiż uczynili spustoszenie, usiekłszy co najprzedniejszych, —

obskoczeni niebawem ze wszech stron, i w ścisku jeszcze głowniami mieczów druzgocząc czerepy, powaleni nakoniec na ziemię, okrutnie pomordowani zostali.

Za klęski przez nich i pana ich zadane, które znacznemi się okazały, a zwłaszcza za śmierć starego Siegfrieda, z jego poległego dłoni, uniesieni szałem i krwią pijani oprawcy, na zmartwiałych już ciałach, okropną pomstę wzięli, szarpiąc je w kawały, wypruwając jelita, rozcinając piersi, i drgające z nich jeszcze dobywając serca!

Unurzani we krwi, z poobryzgiwanemi odpadkami mózgów i mordem zezwierzęconemi obliczami, do dzikich bestyj podobni, — rycerze ci, pod godłem krzyża podstępnie mordujący swych gości, — straszne czynili wrażenie! Posadzka sali, w której przed chwilą wesoła odbywała się uczta, spływała teraz krwią; powstałe z niej w gorącu opary

unosiły się mgłą w górę, dławiąc swym ostrym zapachem.

Dziedziniec zamkowy zasłany był cały okropnie pomordowanemi ciałami.

Tu widniał leżący nawznak mąż, z przechyloną wtył głową, z ogromną szeroką raną w szyi i z przewróconemi w słup, zmartwiałemi w przerażeniu ócz orbitami. Owdzie leżało, niezastygłe jeszcze, ciało bez głowy, z drgającemi konwulsyjnie nogami. Owdzie widniał, rozbity napoły toporem, czerep, a z pod niego przeświecał szczeliną nagi, okrwawiony mózg!

Podwórze — zasłane z krańca w kraniec złomkami mieczów i włóczni, porozbijanemi szczątkami naczyń, ław, stołów, poszarpanemi na szmaty strzępami odzieży, z oślizgłemi od krwi kamieniami, z obryzganemi krwią nawet murami, — przedstawiało wstrząsający obraz pogromu i zniszczenia. Wpośród okropnych tych, w grozie swej, śladów walki i rzezi,

uwijali się, przy świetle smolnego łuczywa, krzyżaccy knechci, starając się zatrzeć z pośpiechem wszelkie pozostałości mordu i dokonanej zbrodni.

Martwych więc i nie dających znaku życia, lub też słabe tegoż ślady, — Żmudzinów wleczono zapomocą długich, ostro zakończonych haków, przez wszystkie dziedzińce ku północnej baszcie, na stromy, wysoki brzeg Niemna wychodzącej. Stąd, podziemnemi, krytemi korytarzami, dochodzącemi do samej rzeki, wrzucano je wprost w szumiące, wartkie fale Niemna.

Robota ta, w której brało udział kilkuset ludzi, przeciągnęła się do świtu. Gdy pierwsze promienie jutrzenki, rzucając blado-srebrzyste blaski na górę zamkową, rozjaśniły świetlaną smugą majestatycznie ku Bałtykowi toczące się nurty rzek patrjarchy, — z okropnych epizodów dnia poprzedniego żadnego prawie nie zostało śladu. Niemen tylko,

w błękitnem zazwyczaj wód swych zwierciadle wesoło odbijający nieba lazury, dzisiaj — posępny i ponury, jakby gniewny, że tajemnej zbrodni mimowolnym stał się uczestnikiem, z groźnym pomrukiem toczył swe fale, czerwiennym zabarwione odcieniem.

. . . . . .

Gdy na zamku pośpiesznie usuwano ostatnie szczątki dokonanego gwałtu, w wilgotnych i mrocznych jego podziemiach, na garstce wpółzgniłej słomy, ciężkiemi skrępowany łańcuchami, jęczał kniaź, pod silną zostający strażą.

Rzucony, jak pies, na dno lochu, stratowany i sponiewierany, stracił narazie przytomność. Silna jednak natura przemogła po niejakim czasie władnące nim odrętwienie. Poruszył się zwolna i jęknął cicho; dojmujący ból, jaki poczuł w głowie i piersiach, wrócił mu resztę przytomności. Chciał wyciągnąć rękę, w tej

chwili jednak przekonał się, że ręce ma skrępowane mocnemi okowy.

Bezwładny i bezsilny, z cichem bolesnem westchnieniem opuścił głowę na piersi. W miarę, jak powracała świadomość, przed oczami jego przesuwały się kolejno obrazy wczorajszej uczty i rzezi; w pamięci stawał straszny widok, z zamkowego dostrzeżony okna.

Z początku zdało się kniaziowi, że wszystko to zmorą jest tylko, co sen spokojny zatruwa. Gdy jednak przy wtórem poruszeniu dźwięk kajdan posłyszał, przekonał się ze zgrozą, że to nie sen, lecz jawa. Na myśl tę włosy zjeżyły mu się na głowie, po ciele przebiegł dreszcz śmierci. Prędko jednak opanował kniaź ten objaw słabości, kurczowo zacisnął pięście i zgrzytnął zębami. Usposobienie rycerza, na polu bitew zahartowanego, wzięło górę nad słabością znękanego więźnia. Krew nabiegła mu do

głowy, mężne serce zapałało chęcią odwetu i zemsty.

Opanowując ból, pragnął silnem szarpnięciem zerwać gniotące go łańcuchy; zadźwięczały, lecz nie puściły. Macając w ciemnościach, natrafił na ścianę, i przekonał się, że do niej został przykuty. Ogarnięty wściekłością, począł miotać się konwulsyjnemi ruchami na wsze strony, probując wyzwolić się z tych pęt szatańskich. Łańcuchy snać obliczone były na te tytaniczne wysiłki; brzęknęły tylko, pozostały jednak nienaruszone. Bezsilny więc i zniechęcony opadł kniaź na ziemię a z oczu jego, mrokiem oślepionych, spadać poczęły gorzkie łzy niemocy i upokorzenia.

On — udzielny kniaź na Raudaniu, potężny i groźny, przed którym drżeli dotąd butni Krzyżacy, obawiając się go, jak gromu, teraz spętany, jak nędzarz, na lichym poniewiera się barłogu. On — który dotąd, jak wilk owce ze stada, po-

rywał silną prawicą, z żelazem skutych szeregów, zbrojnych mężów, szarpiąc ich, jak jagnięta; on — który, jak gradowa nawała przybija do ziemi obciążone ziarnem kłosy, — kładł pokotem ludzi i konie, on — dotąd jak sam Perkun straszny i nieuchwytny, jęczał teraz, jak potulny baranek, w pętach krzyżackiej niewoli!

Myśl ta i miotające nim uczucie rozpaczy nie dawały kniaziowi spokoju. Pojmował, że żadna siła ludzka nie zdolna jest wyrwać go z tych szponów szatańskich. Rozumiał, że zacięci wrodzy, których utrzymywał dotąd w ustawicznym lęku, raz pochwyciwszy tak niebezpiecznego przeciwnika, nie wypuszczą go z rąk swoich, nie udarują wolnością.

Gdyby choć pozostał po nim ktoś, co wzamian srogą pomstę nad niecnymi zdrajcami powziąćby umiał!

Kniaź szukał myślą gorączkowo, komuby święte dzieło zemsty godnie powierzyć można. I nie znajdował nikogo.

Synów wszystkich potracił w krwawych z tem niecnem plemieniem zapasach: wszyscy trzej zginęli w młodocianym wieku, na polu chwały. Z wiernych sług i towarzyszów, po wczorajszej rzezi, nikt, zda się, nie został przy życiu. Jeden za drugim padali w jego oczach. Przy pierwszym zbójeckiej sali filarze powalił się Dalikajtys, z rozciętym napoły czerepem. Tuż opodal, obsaczony ze wszech stron, jak jeleń ścigany przez psiarnię, bronił się rozpacznie mężny Skorbieyłło, aż uległ przemożnej sile. I tak ginęli jeden za drugim dzielni kniazia druhy i tylu zwycięskich bojów towarzysze. Nie stało z nich ni jednego, któryby straszną krzywdę odpłacił z nawiązką.

Miał kniaź wprawdzie jedyną, godną siebie córę, którą ukochał nad życie. Była też ona źrenicą jego oka. Hoża, nadobna, jak krew z mlekiem, dziewoja stanowiła osłodę żywota swego rodzi-

ciela. I w niej płynęła krew szlachetnego rodu i mężne w piersiach biło serce. Niemniej słaba to tylko niewiasta. Nie jej białą pierś wystawiać na żelazne groty, i drobną dłonią ochraniać dobro ojcowskie. Pleść świeże z rozmarynu wianki, skroń niemi zdobić dziewiczą, nucić i pląsać wesoło w rówieśnic gronie, — oto jej udział życiowy, — nie krwawa zemsta nad ciemiężycielami rodzica.

Posępne te myśli, jak grono duchów, do których zdał się już należeć, wytrącony brutalną dłonią z pełni życiowej, obsiadły smętnym korowodem głowę kniazia, z wyrazem niemej, głębokiej rozpaczy na piersi pochyloną.

Wtem odgłos kroków, odbijających się głuchem echem w podziemnym korytarzu, oraz stłumiony szmer zbliżających się głosów wyrwał go z tej bolesnej zadumy.

Po chwili brzęknęły klucze, skrzypnęły ciężkie wrzeciądze, i smuga ostrego,

jaskrawego światła pochodni rozjaśniła panujące w lochu ciemności.

Na progu ukazał się drab sążnistej budowy, który, zmierzywszy drwiącem spojrzeniem leżącego pod ścianą kniazia, szyderczym ozwał się tonem:

— Wielki komtur prosi uniżenie waszą cześć, by go raczyła łaskawie nawiedzić; stęskniony jest bowiem za waszym widokiem. — Poczem zbliżył się do kniazia, i, otwierając kluczem, przytwierdzone do ściany łańcuchy, dodał ze zjadliwym uśmiechem:

— Rozpogódź, czcigodny kniaziu, twe szlachetne oblicze, i nie rozpaczaj: powrócimy tu niebawem.

Na ironiczne słowa zuchwałego służalca, kniaź żadnej nie dał odpowiedzi, pogardliwem zbywając je milczeniem.

Tymczasem łańcuchy opadły, i kniaź, podniósłszy się zwolna, podążał z trudnością z kajdankami na rękach, długim,

mrocznym korytarzem za postępującym przed nim z pochodnią knechtem.

Gdy, krążąc w ten sposób w różnych kierunkach, wydostali się nakoniec, po stromych schodach, na główny dziedziniec, kniaź spojrzał z przerażeniem na to miejsce, które było, przed kilkunastu ledwo godzinami, niemym świadkiem ohydnej śmierci wiernej jego drużyny. Na widok ów serce bolesnym skurczem w piersiach mu się ścisnęło. Nikt napozór nie dostrzegłby tu żadnych śladów krwawej tej orgji, tak je starannie uprzątnięto; w niektórych miejscach tylko, między dużemi, ostremi kamieniami, jakiemi zabrukowane było podwórze, widniały ciemno-czerwone plamy skrzepłej krwi.

Kniaź miał czas przelotne jeno na zbrodnicze te piętna rzucić wejrzenie, gdy po szerokich kamiennych schodach wprowadzono go, jakby na urągowisko, do tej samej sklepionej sali, gdzie wczoraj jeszcze, jako gość i sprzymierzeniec,

a niezależny władca, z wszelkiemi przyjmowany był hołdami.

Na wspomnienie tej chwili, nacechowanej takim fałszem i obłudą, których znaczenie dziś dopiero w całej ujawniło się potworności, krew nabiegła mu do głowy, a pragnienie zemsty znów gwałtownem ozwało się echem. Nienawistnym wzrokiem pobiegł dokoła, po spoglądających nań, z nietajonem uczuciem triumfu i dzikiej radości, obliczach zgromadzonych wrogów, aż zatrzymał się na patrzącym nań, z wyrazem szatańskiego szyderstwa, komturze.

— Wygodne wszak obraliśmy wam, dostojny panie, pomieszczenie — ozwał się ze zjadliwym uśmiechem do kniazia, topiąc w nim wzrok pełen nienawiści.

— Godne gospodarza, który świętokradzką dłonią na życie gościa swego nastaje — odparł kniaź, nie spuszczając oka z pobladłej z tłumionej pasji, twarzy Albrechta.

— Milcz, psie niewierny, bo zginiesz marnie! — wybuchnął, nie hamując się dłużej.

Kniaź nic już nie odrzekł na obelżywe te słowa; w milczeniu tylko przeszywał komtura, jak stal, zimnem wejrzeniem, aż ten, nie mogąc znieść dłużej utajonej w niem siły, opuścił oczy ku ziemi.

Niedługo dalsza trwała rozmowa.

Kniaź, zwątpiwszy ostatecznie o możności wydostania się kiedykolwiek ze szpon swych oprawców, ulegając przemocy, zgodził się ostatecznie podpisać akt, według brzmienia którego oddawał, niby dobrowolnie, raz na zawsze, po wsze czasy, wszystkie należące doń ziemie w wyłączne władanie Zakonu. Wzamian za ten, uniewinniający ich w oczach świata, a bezspornej na przyszłość dowodzący własności, dokument, Krzyżacy udarowali kniazia życiem, zamieniając haniebną śmierć, pod toporem kata, na dożywotnie więzienie o chlebie

i wodzie. Prócz tego, postanowionem zostało, że Zakon wtedy dopiero w posiadanie kniaziowskich ziem wejdzie, gdy reszta pozostałej przy życiu drużyny, nienagabywana przez nikogo, z bronią w ręku, strzeżoną dotąd przez się, zamek opuści, żadnego nie ponosząc szwanku.

Gdy warunki te omówione, wzajemną przysięgą i podpisami stwierdzone zostały, — kniaź, w którego sercu, po krótkiej walce, rodzicielskie uczucie wzięło górę nad nieugiętą dotąd dumą, wyżebrał na kolanach, u radującego się z upokorzenia wroga, komtura, pozwolenie na zobaczenie się z córką. Zawarowawszy wolność tejże w zaprzysiężonym akcie, pragnął, przed wtrąceniem do lochu, raz choćby jeden oczy widokiem jej ucieszyć.

. . . . . .

Wiosenny ranek tchnął pełnym czaru powiewem. Słońce, usiłując przebić

delikatną mgły powłokę, rzucało coraz silniej srebrzyste smugi, które, zlewając się stopniowo w jedną, świetlaną tarczę, zmuszały opary, chcące je uwięzić w miękkich swych objęciach, do ustąpienia zwycięskiemu temu pochodowi. Wzbiwszy się na dostateczną wysokość, zaczęło zalewać promiennemi blaski całe przestworze, śląc na wsze strony uśmiechnięte pocałunki, grając gamą tęczowych tonów na wszystkich kroplach rosy, perląc się kaskadą świateł w każdym kwiatka kielichu.

Na to radosne wezwanie do życia, szczęścia i swobody zgodnym chórem odpowiedziały głosy ptasząt, napełniając powietrze weselnym hymnem; a lekki wietrzyk niósł te odgłosy, blaski i wonie dalej i dalej aż ku, w mroku spowitym, ostępów leśnych głębinom.

Na lazurowych, miłośnie szepczących falach Niemna kołysała się unoszona zwolna łódź. Kierowana mocnych rąk

wysiłkiem, pruła napoprzek wartkie nurty, zdążając ku wysokiemu, w zieleni skąpanemu brzegowi. Dobiwszy doń wreszcie, stanęła, niememu posłuszna skinieniu.

Na ląd zstąpiło lekką nogą przecudne świetlane zjawisko. Promienie słońca, muskając pieszczotliwie białą tę postać, odbijały się od niej silniejsze jeszcze, jakby spotęgowane ukrytemi we wnętrzu jej blaski. Młoda dziewczyna, o srebrzyście płowych włosach, modrych jak toń jeziora oczach i olśniewającej białością swą cerze, — stanęła na brzegu. Wzrok jej mgłą smutku spowity, o tęsknym, rzewnym, wyrazie, pobiegł ku górze, aż zatrzymał się na czerwonych murach zamczyska. Na widok ten, bolesnem w jej sercu odbijający się echem, modre źrenice dziewczęcia pociemniały, zielonawe siejąc błyski. Wyraz głębokiej nienawiści ściągnął w jednej chwili klasycznie spokojne i piękne jej rysy. Śmia-

łym krokiem, nie oglądając się na pozostałych w łodzi towarzyszy, piąć się poczęła pod górę.

Doszedłszy do wału, który półkolem z tej strony opasywał zamek, podniosła do ust wiszący u pasa rożek i po trzykroć silnie weń zadęła.

Na znak ten, snać umówiony, odezwały się grubym głosem rogi czatujących na basztach straży.

Po chwili skrzypnęły łańcuchy mostu, który opadł z trzaskiem nad szeroką, biegnącą przed tym wałem fosą. Poczem, przez furtę, uchyloną z wszelkiemi ostrożnościami, w wielkiej bramie zamkowej wysoka ukazała się postać. Stąpając z trudnością, posuwała się zwolna ku okopom.

Dziewczę, przypatrujące się z wysiłkiem zdążającemu ku niej starcowi, nagle krzyknęło rozpacznie.

W tej przygarbionej własnym ciężarem, chwiejącej się postaci, rodzonego

poznała ojca. Czyżby to on mógł być istotnie? Ten trzęsący się, zgrzybiały starzec — to rodzic jej ukochany?! Tak więc przez dni kilka zaledwo zgnębiła go krzyżacka niewola?!

Z płaczem serdecznym padła mu do kolan, poczem powstawszy, macierzyńskim ruchem otoczyła tę biedną, siwą głowę swemi ramiony, tuląc ją, jak ukochane dziecię, do wezbranego gorzkim bólem łona. Łzy gorące, łzy tkliwej miłości i szarpiącej rozpaczy gradem z jej oczu pociekły. Ten olbrzym, w bojach jak stal zahartowany, a słodkiemu rozrzewnieniu nigdy dotąd niedostępny, poczuwszy na twarzy ten chryzmat wielkiego uczucia, — załkał boleśnie.

— Córo jedyna!

— Ojcze drogi!

To było wszystko, co w owej wstrząsającej boleścią swą chwili rzec sobie mogli.

W tkliwym złączeni uścisku, nie spostrzegli oboje Albrechta, cichym ku nim skradającego się krokiem. Korzystając z tego, komtur stanął i patrzył z podziwem, oniemiały z zachwytu. Nie spodziewał się snać z podobnem spotkać zjawiskiem.

Złotowłosa główka dziewczęcia, otoczona aureolą słonecznych promieni, postać jej smukła i wiotka, jak gibki bluszcz wijąca się na piersi starca, a tak ponętna i wdzięczna, — wstrząsnęła nim do głębi. Któż zdoła przewidzieć i obliczyć bezmierny urok niewieściej piękności? Ten sęp krwiożerczy, którego okrutne serce obcem dotąd było wszelkiemu szlachetnemu wzruszeniu, wszelkiemu tkliwemu porywowi, głuchem na jęki rozpaczy, nagle, pod wpływem światła i ciepła, jakiem promieniała ta puszcz litewskich królewna, — miękł zwolna w słodkiem nieznanem mu upojeniu. Pochwycić to cudnemi blaski jaśniejące dziewczę w ra-

miona, do piersi je swojej przytulić! Oto rozkosz, za jaką oddać można wiele, bardzo wiele!

Opanowany nagłem, a żywiołowo potężnem w gwałtownym wybuchu uczuciem, komtur dał znak stojącym u bramy knechtom, a gdy ci cofnęli się śpiesznie, postąpił kilka kroków naprzód.

Kniaziówna, pod palącym gorącą namiętnością wzrokiem Krzyżaka drgnęła, jak pod żądłem płaza. Wejrzeniem, pełnem pogardy i nienawiści objęła tę postać. Jakie jednak było zdziwienie i radość komtura, gdy, podszedłszy bliżej, spostrzegł na purpurowych, jak rozkwitająca róża, ustach dziewczęcia, słodki uśmiech, uśmiech, otwierający przed nim niespodzianie wrota do najśmielszych, najzuchwalszych nawet nadziei!

Promienna jak jutrzenka stała przed nim, odziana w miękką, białą, pod tchnieniem gorącego łona zlekka falującą szatę.

Olśniony i zachwycony, w gwałtownem uniesieniu komtur szerokie rozpostarł ramiona. Drżąca cała, z łuną rumieńca na cudnem obliczu, z dziewiczym wstydem w błękitnych źrenicach, — kniaziówna w objęcia Niemca się chyli; jej złotopłowa główka do szerokiej tuli się piersi...

Wtem w drobnej jej dłoni błyska ostrze noża, i z piorunną szybkością na pierś tę opada. Biały płaszcz barwi się krwawą smugą, obfitym tryskającą strumieniem. Komtur z pobladłem licem słania się do nóg kniaziówny. W szeroko rozwartych, a mgłą zachodzących jego oczach widnieje przerażenie. Na zbielałe wargi szeptem wybiega jeden tylko wyraz:

— Żmijo podła, ukradkiem kąsająca.

— To zdrada!...

tobie to mówić o zdradzie! Tobie, nędzny płazie, który podstępnie zwabiasz do siebie mężnych rycerzy, mordując ich

skrycie! I ty, przeniewierco, sądziłeś, że śmierć tylu ofiar nie spadnie na cię karą, a pychą olśniony, mniemałeś może zuchwale, że z ust mych nagroda cię czeka?! Perkun sił dłoni mej użyczył, bym, jak każe, pomstę nad tobą wzięła! Niech przeklętem będzie całe twe plemię jaszczurcze! A duch twój nędzny, w mroku śmierci skryty, niech błąka się tu dotąd, póki z tego gniazda mordu i zdrady choć jeden nie zostanie kamień!!!

To rzekłszy, trąciła z pogardą nogą stygnące ciało komtura, i, pochwyciwszy za ręce zdumiałego czynem jej ojca, szybko wraz z nim zbiegła do oczekującej u brzegu łodzi. Nim z bramy zamkowej poskoczyli knechci i rycerze, łódź, silnemi ramiony na rzekę zepchnięta, niebawem zniknęła im z oczów.

. . . . . .

Klątwa kniaziówny spełniła się co do joty.

Po śmierci Albrechta von Hohenlingen, zamek począł szybko chylić się do upadku i niebawem w gruzy się rozsypał. Następcy jego kilkakrotnie probowali dawną przywrócić mu świetność. Starania ich jednak były daremne. Nad zamkiem tym snać ponure zawisło przeznaczenie. Co czas jakiś bowiem, nagle spadająca klęska obracała go w perzynę, pozostawiając tylko zgliszcza i ruiny.

W chmurne zaś noce jesienne, gdy wicher z posępnym poświstem po ruinach tych buja, w głębi ich dziwne odzywają się głosy, napełniając nocną ciszę przerażającemi jęki i rozpacznem o pomoc wołaniem. A gdy blady miesiąc, przebiwszy gęstych chmur oponę, obleje swemi blaski górę zamkową, — wtedy dostrzec można, krążącą po niej wysoką postać w białym płaszczu z krwawą na piersiach plamą...

„DLA WSZYSTKICH".

Nowele, Podania, Legendy, Opowieści, Humoreski.

1. DOMAŃSKA, A. Złota przędza. Wydanie drugie
2. — Kuglarz Matki Boskiej. Leg. Wyd. drugie
3. — Krzyż w Probołowicach. Leg. Wyd. drugie
4. — Ave Maria. Legenda. Wydanie drugie . .
5. — Czeladnik majstra Szymona. Legenda. Wydanie drugie . . . . . .
6. GLIŃSKI, K. Ostrzeżenica. Now. Wyd. drugie —,30
7. JESKE-CHOIŃSKI, T. Rycerz bandyta. Nowela. Wydanie drugie . . . . . —,40
8. — Trubadur w pułapce. Now. Wydanie drugie —,45
9. JEZIERSKI, E. O skarb Gwajkurów. Opowiadanie. Wydanie drugie . . . . . —,90
10. — Za wiarę i ojczyznę. Opow. Wydanie drugie —,40
11. TUCHOŁKOWA, St. Dziewica Orleańska. Powieść hist. Wydanie trzecie. Z ilustr . . —,90
12. JESKE-CHOIŃSKI, T. Sąd Boży. Wydanie drugie —,40
13. DOMAŃSKA, A. Królewska niedola. Powieść hist. Wydanie trzecie. Z ilustracjami . .
14. JAROSŁAWSKI, M. Odwet Drzymały. Nowela.
15. — Szwabski niewolnik. Nowela. Wydanie drugie
16. — Patrol wigilijny. Nowela. . . . .
17. DOMAŃSKA, M. Siostra Hanna. Wyd. drugie
18. — Żona ułana. Nowela. Wydanie drugie .
19. — Panienka ze dworu. Nowela. Wydanie drugie
20. BAŁUCKI, M. Latawica. Nowela. . . . —,35
21. — Za późno. Nowela. . . . . —,35
22. BOGDANOWICZ, E. Błękitna pantera. Z ilustr.
23. — Sępie gniazdo. Opowiadanie. Z ilustracjami
24. GOMULICKI, W. Strach. Opowiad. żołnierskie —,20
25. — Syrena. Opowiadanie . . . . . —,15
26. — Sołdat. Opowiadanie . . . . . —,55
27. — Zakazane. Opowiadanie . . . . . —,20
28. — Dlaczego mój znajomy nie mógł dotąd „pism" swoich napisać. Humoreska . . —,20
29. JASIŃSKI, K. J. Dawni ludzie. Opowiadanie Z ilustracjami . . . . . —,50
30. STODOR-CEHAK, A. Czarna ściana. Nowela. —,40
31. MORAWSKA, Z. Skarbiec Faraona. Opowieść egipska . . . . . —,40

32. ORWICZ, J. Gołębice. Szkic powieśc. . . —,50
33. — Cyrograf. Nowela . . . . . —,30
34. GLIŃSKI, K. Przeklęty ród. Nowela. . . —,60
35. — Ave! Nowela. . . . . —,50
36. CIEMBRONIEWICZ, J. Mistrz Twardowski. Opowiadanie. Z ilustracjami. . . . . —,75
37. WIERZBIŃSKI, M. Księżyna. Opowiadanie. . —,20
38. SEWER. Zielona latarka. Nowela. . . . —,50
39. JACKOWSKI, N. M. Tamba. — „Ojcze nasz". Opowiadania z puszcz amerykańskich . . —,35
40. — Marja Antonina. Humoreska brazylijska —,40
41. GLIŃSKI, K. Wielki szlem. Wujaszek. Nowela —,25
42. KROPIWNICKA, C. Grewontowy hufiec. Opow. —,50
43. SEWER. Mama sobie życzy. Nowela. . .
44. GLIŃSKI, K. Murłaj. Nowela . . . . —,15
45. — Kowalowa góra. — Na widecie. Nowele . . —,25
46. WIERZBIŃSKI, M. Pięść Marcina Wilczka. Now. —,25
47. SEWER. Łusia Burlak. Nowela . . . . —,65
48. — Pierwszy utwór. Nowela . . . . . —,40
49. GLIŃSKI, K. Pan Radca. — Filipek. Nowele . —,30
50. SEWER. Na pobojowisku. Nowela . . . —,90
51. GAWALEWICZ, M Sprawa honorowa. Nowela —,60
52. — Jööl. Nowela . . . . . —,50
53 JAROSŁAWSKI, M. Walczące widma . . —,60
54. KRASZEWSKI, K. Skuteczne wody. — Pokolei. Humoreski . . . . . —,40
55 SZELBURG-OSTROWSKA, E. Legendy żoln. —,40
56. KRASZEWSKI, K Wyprawa na żubry. — Plama. Humoreski . . . . . —,40
57. KRZYŻANOWSKI, A. Za winy niepopełnione. Nowela . . . . . —,40
58 KRASZEWSKI, K Nehemi, — Reb Icek. Hum. —,30
59. DOMAŃSKA, A. Orlęta. 3 opowiadania . .
60. ŻEGOTA, R. Czarne uroki. Opowieść współcz.
61. KRASZEWSKI, K. Trzewiczek. Nowela . .
62. RELIDZYŃSKI, J. Z dni krwi i chwały. Now.
63. KORWIN, J. Zemsta. Nowela . . . .
64. DOMAŃSKA, M. Dzwony. — Śmierć Jana Chodora. 2 opowiadania . . . . .
65. KRASZEWSKI, K. Białonóżka Pana majora. Now.
66. SOKOŁOWSKA, Z. Zaklęty młyn. Opowiadanie historyczne . . . . . .

GIEWONTOWY HUFIEC

CECYLJA KROPIWNICKA

GIEWONTOWY HUFIEC

OPOWIADANIE Z R. 1846

NAKŁAD KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA
POZNAŃ – – – – – – WARSZAWA

CZCIONKAMI DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA

I.

Czarna, grudniowa nocka drzemała jeszcze nad unurzanemi w mgłach szczytami, nad przepastnemi dolinami, nad grzbietami lasów sędziwych; przytulony do Tatr, drzemał w ciszy nadedniowej godziny Chochołów.

Powoli, powoli z ciemności posępnej jęły się odsłaniać ostre, groźne krawędzie, jęły się odcinać obnażone, strome, ścięte plecy skał od zawalonych bezmiernemi, niepokalanej białości śniegami, obłych, niższych grzbietów: zaczęło szarzeć.

Olbrzymie a znikome cielsko nocy przeciągnęło się leniwie, odetchnęło pierwszym zwiastującym powolne budzenie się oddechem, który wionął w doliny niespokojnym wiatru podmuchem. Nadleciał ten dech, tam, hen, z gardzieli doliny — jak lekki szum z początku, rozpędzał się, mocy nabierał, aż spadł na wieś, ni to rozhukanych rumaków tabun.

Zawichrzył śniegami: wzniosły się z niskich dachów grzywy białe, rozwinęły się bujnie i rozsypały tumanem śnieżnym, — porwały się od pustych majdanów wiry — tanecznice, zawiodły tan szalony i, ramiony się wspólnie oplótłszy, przepadły w czarnym lesie smreków.

Rozhulał się wicher.

Starcowi, co z kosturem z góry się spuszcza ku dolinie, sypie w oczy zmarzłym ostrym pyłem, pod nogi mu wały śnieżne nagarnia, kaptur z głowy zrywa, białą gunią szamoce i pasmami siwych włosów targa.

Nic to, — dziad idzie śmiałym, pewnym krokiem. Oczy utkwił w szare, brzemienne burzą i śniegiem obłoki, na wściekłość wichru nie zważa.

„Wzywałem Pana chwalebnego, a od nieprzyjaciół byłem wybawiony..." — modlitewnym głosem pieśń psalmu wiedzie.

Poprzez szum, chichot, wycie wichury przebijają się jękliwe jego słowa.

„Tedy się ziemia wzruszyła i zadrżała, a fundamenty gór zatrząsnęły się..."

Załomotał huragan po skałach skrzydłem olbrzymiem, rozegrał się echem stokrotnem, jak grzmot zahuczał i zatrząsł granitowemi ścianami.

„A wsiadłszy na Cheruba, latał, latał na skrzydłach wiatrowych..."

„Uczynił sobie z ciemności okrycie"..

A Cherub wichrowy wciąż szalał, i ciemności się jeszcze rozpierzchnąć nie chciały, a z nich szedł wciąż głos słów modlitewnych:

„Wyrwał mnie od mocnego nieprzyjaciela mego i od tych, którzy mnie mieli w nienawiści, choć byli mocniejszymi nad mię"...

Z bezdroży górskich zszedł już staruch na szeroką, wiejską drogę.

Z poza tumanów śnieżnych przebiły się czerwone od światła szybki małych okienek, zamajaczyły sczerniałe starością drewniane ściany kościółka i wyciągnięte nad nim olbrzymie, bezlistne ramiona lipy, co już dwa wieki w srogą twarz Tatr i w słodkie świętości domu Bożego patrzyła, — co nieustraszona słuchała nawałnicowych zmagań natury — i drżała drobnem liściem, gdy pierś ludu wezbrała hymnem: Święty Boże, Święty a nieśmiertelny...

Przyśpieszył dziad kroku i za chwilę dopadł kościoła.

Snać jeszcze dusza w nim wrzała od walki z wichurą, i usta gorącości psalmów królewskich pełne były, bo nie wszedł w święty przybytek, lecz bokiem o odrzwia się sparłszy, stanął u wnijścia, głowę siwą na piersi schyliwszy. Uspokajał się powoli, cichł w sobie i gdy dzwonki rzęsiste chwilę podniesienia oznajmiły, już w całej pokorze i uniżeniu bił czołem o próg kamienny.

A potem patrzał przez uchylone, ciężkie, ogromnemi ćwiekami nabite drzwi w głąb świątyni, gdzie jarkie światło świec odcinało się żółtym blaskiem od białawej szarości wczesnego poranku, gdzie kłębiły się dymy kadzideł, z parą ludzkich oddechów zmieszane, a wśród sczerniałych starych malowideł migotały złota szat kapłańskich.

„Spuśćcie nam na ziemskie niwy
Zbawcę z Niebios, obłoki"...

zawiódł na chórze pełną tęsknoty pieśń roratnią organista Andrusikiewicz.

Uśmiechnął się na dźwięk kochanej melodji starucha:

— Nigdzie ci tak, człowiecze, nie zaśpiewają, jako tu w tem Chochołowie, jako owo ten nasz Jan kochany. Oj, dusza to!

Świt się robił tymczasem coraz mniej szary; wiatr przyczaił się gdzieś w granitowych szczytach i ucichł, natomiast rozpadał się śnieg gęsty wielkiemi płatami.

Naród się począł sypać z kościoła, a czy młody czy stary, każdy witał stojącego przed progiem wędrowca radośnym uśmiechem i słowem serdecznem. On ściskał wyciągnięte do siebie dłonie, kobiety w gościnę go zapraszające po licach gładził pomarszczoną, zgrzybiałą dłonią, o zdrowie wypytywał, lecz do żadnej nie przyłączył się gromadki; stał, na kogoś, widno, czekając.

Wyszedł już i stary Zych Wojciech, co najdłużej dosiadywać lubił i paciorki ofiarowywał po każdej Mszy św. za długi szereg duszyczek, co w ciągu jego dziewięćdziesięcioletniego żywota z nim tu na ziemi w pokrewieństwie lub w pobratymstwie żyły, a już się z ciałem rozstały, a o których pamiętał starowina, dopraszając się równocześnie ich przyczyny na ową chwilę, gdy i jemu do wrót niebieskich zapukać przyjdzie.

— A nie dajcie mi długo pod Boskim progiem skomleć, o duszyczki błogosławione,

a warciutko św. Klucznikowi oznajmiajcie, jako Wojtek Zych z Chochołowa doprasza się do nieba, którego wam i sobie życzę. Amen — tak kończył codzienne modlitwy stary, pochylony Zych Wojciech.

Szła przy nim jego wnuczka po córce, Hanusia. Jak obrazek malowany, taka słodka, uśmiechnięta twarzyczka patrzała z pod czerwonej wełnianej chusty, jak skowronka głosik dźwięczny przemówił:

— Dziadusiu, ot stary nasz Jędrus stoi!

— A, Bóg nagodził gościa. Witajcie! Do chaty prosim, nie będziem tu na zimnie gadać — trzęsąc głową mówił Zych, ciągnąc dziada za cuchę.[1])

— Przyjdę, przyjdę, jeno się jegomościa doczkać muszę — odkrzyknął Jędrzej starcowi w samo ucho, jako że ten był przygłuchy.

— No, to dajcież, dziadusiu, tymczasem tę biblję, to wam zabiorę i poniosę — prosiła z przymileniem dziewczyna.

— A to i dobrze, Hanuś, jagódko, bom się i zmęczył dziś trocha, zdaleka idąc, a z wiatrem się mocując.

I wielką, w skórę oprawną księgę przełożył w ręce dziewczęcia, poczem podreptał naprzeciw wychodzącego ze drzwi zakrystji młodego księdza. Pokłonił mu się nisko czapą i ze czcią i miłością w łokieć ucałował.

---

[1]) Cucha lub gunia = sukienne okrycie.

— A, jak się macie, Jędrusi? Bóg z wami! Radem jest, żeś wrócił, dziadu, przydasz się nam tutaj. Jakżeż w Czarnym Dunajcu, Witowie udało się? Jakież nowiny? A wiecie to, że powstanie w Polsce już za parę tygodni postanowione?

Ostatnie słowa dorzucił księżyna ściszonym głosem, rzuciwszy wprzód bystro oczyma dokoła, czy niepotrzebnych świadków rozmowy niema.

Dziad kiwnął głową, a puszczając księdza przodem wydeptanej w głębokim śniegu ścieżki, wyrzekł wesoło:

— Zaraz wam, jegomościuniu, prawić będę, jeno się z kumotrem powitam a wyściskam.

Zaraz też organistę, który drzwi zakrystyjne kluczem właśnie zamykał, objął ramieniem za szyję i na brodatym policzku wycisnął mu głośny pocałunek.

— Jak się masz, Andrusikiewicz! Niech cię kule biją, takem leciał do Chochołowa, jak ptak z wichrem: tęskniło mi się do was.

Przystanęli w trójkę, do poufnej, ku sobie się nachylając, pogadanki, gdy ksiądz wskazał oczyma w stronę, gdzie na ganeczku plebanji stanęła druga postać w sutannie, o czerwonej, szerokiej twarzy.

— Proboszcz wyszedł, nie możem nic gadać teraz. Przyjdę do ciebie, Andrusikiewicz, po nieszporze, wieczorem. Zbierz naszych, to sobie pomówim spokojnie.

— Niech cię kule biją! — mruknął dziad niezadowolony.

Ksiądz się zwrócił ku plebanijce, a organista ze starym w uliczkę boczną skręcili, gdzie zaraz pierwsza z brzegu stała organistówka.

Małe „organiściaki", jak je dziad zwykł nazywać, hałasując i wykrzykując z „dziadusiem" się witać poczęły, a organiścina zakrzątnęła się żwawo, by zdrożonego a miłego gościa nakarmić i czem najlepszem uraczyć. Nijak się było do dłuższej pogadanki zabrać, bo to i na godzinki niebawem organista się zabrał, a potem suma i nieszpor spory kęs czasu zajęły; a Jędrus i Zychów kochanych odwiedzać biegał.

Aż gdy się wymodlili przykładnie, a uśpiewali z całej duszy Bogu na chwałę, gdy się we wsi uciszyło i w chatach się ludziska pochowali, gdy zaświeciła pani Andrusikiewiczowa światło w co największym pokoiku, a zapuściła gęste, białe w oknach firaneczki, dopieroż stary Jędrus zasiadł w krześle, na stole swoją księgę rozłożył, a okulary, sznurkiem powiązane, na nos zasadził i żółte, stare karty przewracać począł, szukając, co to dziś ludziom stamtąd na pocieszenie serc uciśnionych a niepewnych dobędzie. Znalazłszy, wstążką wypłowiałą założył, zamknął grube okładki, a na organistę czekając, dobył z kieszeni fajeczkę i natkawszy, pykać począł w zamyśleniu.

Zaś powoli schodzić się poczęli do chaty sproszeni przez organistę znajomi, zaufani, z którymi organista i ksiądz sprawę powstania polskiego przygotowywali, a podhalańskie oddziały utworzyć z nich chcieli.

Raz wraz ktoś, przytupując nogami, otrząsał się w sionce ze śniegu, czapy obsypane strzepywał, wesoło zagadnął i Boga pochwaliwszy, do świetlicy wchodził i z dziadem się witał serdecznie.

Przyszedł więc przysiężny gminny, Wojtek Kois i Jan Zych, kowal, syn dziewięćdziesięcioletniego Wojciecha z rodu sławnych sołtysów chochołowskich, i Walenty Piasek, i Jan Stercula, i z Witowa Maciej Jasionek, i kupa młodych parobczaków, którymi przewodził Jaśko Wróbel. Dobił się też przez śniegi kochany Andrusikiewicza przyjaciel, Jan Woźny, z Czarnego Dunajca leśniczy, a znów z Suchej Góry od węgierskiej granicy strażnik od cła Wojciech Lebiocki, co sercem i duszą przylgnął do sprawy ojczystej, a powstania, jakby wesela, czekał z niecierpliwością.

Organista, pokończywszy interesy niedzielne, zasiadł też z nimi przy okrągłym stole i zaczęła się pogawędka żywa, lecz trochę ostrożna i przyciszona.

Niewiele tam srebrem starości siwych głów świeciło: Jędrusa jeno, a starego Piaska, a jeszcze paru innych; reszta, to w sile wieku tęgie, krzepkie postacie i młódź, której z oczu ogień tryska. Białe, naszyte

włóczką koszule i baranie wzorzyste serdaki pierś kryją męską i śmiałą, pasy szerokie około bioder błyszczą skówkami mosiężnemi, nogi w kierpcach, smukłe a silne, że na nich gnać choć na skraj świata. Chłop w chłopa — gonny jak smrek, jak orzeł tatrzański śmiały, wartki jak Biały Potok, co z gór w doliny leci.

Jeden Andrusikiewicz między nimi niewielkiego był wzrostu, mieszczańską przyodzian czarną kapotą. Bujny włos z czoła szerokiego sczesany, twarz bladawa, zarostem okolona ciemnym; oczy niebieskie, głęboko pod brwiami skryte, patrzą gołębiem, cichem, dobrem spojrzeniem, lub iskrą zapału błysną niespodzianie.

Wodzem on tu był w tej gromadzie i przewodnikiem, jako że od lat kilkunastu Chochołów go swoim nauczycielem w szkole, a organistą przy kościele miał, swoim bezinteresownym opiekunem przeciw zdzierstwom i niegodziwościom właściciela majątku, swoim doradcą we wszystkich biedach ciężkiego, chłopskiego żywota, krzewicielem światła i myśli, ponad szary pył ziemski wyższych.

— Przybierają się ku nam trochę ludziska, przybierają — rzecze organista, gdy się już aż ciasno w izbie od chłopa zrobiło. — Jędrus mi prawił, że nawet niewiasty, słysząc cośniecoś, że się między narodem gotuje do wystąpienia, dopytują się niecierpliwie, kiedyż to już będzie, — bo niechby raz już

lżej człeku żyć było na świecie. Ze dwudziestu chłopa teraz nam zmówił Jędrus; jeno po jednemu zachodzić tu będą, bo te Niemcy węszą jak psy. Sochor, leśniczy z Witowa — jako że jest mój kum i że ani mu się śni, bym ja się do sprawy powstania mieszał — wszystko mi wypowiedział, jak nas zewsząd pilnują, a o rebelji, jak to oni nazywają, dobrze wiedzą, że ma być. Musim się pilnować mocno, żeby nas nie wyłapali przedtem, nim co będzie, i do więzień nie popakowali.

— Bądźcie niewinnymi jako gołębice, a chytrymi jako węże! — wtrącił dziad z religijnem namaszczeniem.

— Takem sobie też poczynał chytro z Lasską, tym ze Suchej Góry, od cła. On tu często bywa, a tak oczami śledzi za wszystkiem, że wypatrzył mój pałasz tam w kącie. A że to sobie teraz często rękę ćwiczę, bo od broni odwykła, to i rękojeść tak się błyszczała jak wyczyszczona. Ogląda tedy i pyta: „Ejże, panie Andrusikiewicz, czego to się wasz pałasz tak błyszczy, jakbyście nim codzień robili?" A wiercił mnie przytem oczyma jak świdrem. Wykręciłem się, żem synów w Nowym Targu odwiedzał, a że to w drodze trzeba zawsze mieć broń jakowąś, to i wtedy tak się rękojeść pałasza wytarła na czysto. Teraz ją zawsze po użytku octem, dla niepoznaki, pomażę.

— Domyślam się — wyrzekł z uśmiechem młody Jasiek Wróbel — że i ten portret

cesarski tylko tak dla niemieckich oczu tu wisi, a Kościuszko biedny pomaszerował aż nad piec.

— Dobrześ odgadł, Jasieńku — odparł organista, klepiąc pięknego chłopaka po ramieniu. — Nie nowina to u ciebie, żeś sprytny, takiś już i w szkole bywał. Pociechę zawszem miał z ciebie, a teraz jeszcze większą.

— Ej, żeby już raz się zaczęło, mój profesorze, bo tak dłonie świerzbią, że wytrzymać trudno. Boję się, że mi jaki Niemiec, psia dusza, z oczu wyczyta, co w sercu siedzi — z uśmiechem junackim odrzucił młodzieniec — bo jak którego zobaczę, to aż mnie mrówki przejdą i sam czuję, jak mi iskry z oczu skaczą.

— Jeszcze trochę cierpliwości, mój chłopcze. Był ci u mnie onegdaj ks. Głowacki i mówił, żeśmy już są bliscy chwili stanowczej, na luty bowiem powstanie naznaczone. Jeno się zbierać w sobie, a ludu jednać jak najwięcej. Każdy z nas niech ust nie żałuje, a przedkłada, tłumaczy, jako o dobrą sprawę chodzi. Mówić trza ludziom, że niechno swój rząd mieć będziemy, to się chłopu insze życie uśmiechnie: lasu dostaną a łąk, ile im trzeba, a sól potanieje i ustaną niemieckie zdzierstwa a udręki.

— Toż to jest najtrudniejsze, żeby ich przekonać, że to nie na chłopską krzywdę to wszystko się gotuje — odrzeknie stary Jędrus. — Niech kule biją, co ja się nagadał!

Ktoś strachy po wsiach puszcza, co pany rżnąć chłopów będą. Prawię im na to: Niech was kule biją! A któż panom będzie robił, kiedy chłopów wyrżną? I jakożby to było, skoroć na jednego pana we wsi tyle chłopa, żeby go kapeluchami zarzucili. Oj! ciemnota jeszcze wszęda! Niech ich kule biją!

— Powiedzcież, paniczku, a cóż potem, jak Niemiaszków przepędzimy? Toć króla skąd wziąć, skoro potomków po dawnych niema? Dyćby drugiego Piasta nie obrali, a mieliby nam dać takiego podobnego, jak nasz baron był tutaj, to niema poco krwi sobie toczyć. Jakże mówicie, panie Andrusikiewicz? — zagadnął stary, siwy Piasek.

Niedawno on przystał do ochotnych ku sprawie, a że chłop był gospodarny, a układać sobie wszystko w porządku lubił, więc zaraz wiedzieć chciał, jakby te nowe rządy miały wyglądać, od góry do dołu.

— Hm, jakby tak poszukać, tobyśmy potomka znaleźli; gdzieś oni tam i są. A niechby nie — to i niekoniecznie musiałby naród koronowanej głowy słuchać. Niejedno państwo na świecie króla żadnego nie ma ani cesarza, ale rząd taki, co sobie samo obierze; a majestat królewski żaden tam nie błyszczy, jeno prezydent na czele państwa stoi. Tak mogłoby być i u nas, gazdowie kochani: mielibyśmy rzeczpospolitą.

— Tak to onoby mi się uwidziało — Piasek, z ukontentowaniem czuprynę sobie

gładząc, odpowiedział. — I myślę sobie, że naródby inaczej i nie chciał. To po sprawiedliwości. Obraliby ludziska swój rząd i tego tam prezydenta, to i niechby o narodzie myśleli i kłopotali się, coby mu dobrze było, a nie, to se idźcie z Panem Bogiem, a my se innych wybierzem. Na taką obietnicę to ludzie pójdą, jak na miód. O, jej!

A z kąta, gdzie na stołku dotąd cicho w zamyśleniu siedział, podniósł się ogromny chłop o rysach jak z kamienia wykutych i wznosząc w górę dłoń szeroką, zawołał:

— Miły Boże, jakem te piki kuł, co tam w kościele za ołtarzem schowane, to ta ręka kowalska jeszcze nigdy z taką siłą młotem nie waliła jako wtedy, a dusza cała jako ten ogień w kuźni rozgorzała była. Czemuż dajecie sercu stygnąć, a myślom czarnym do głowy się nasuwać?!... Jak co ma być, niech będzie, bo się niejeden przez ten czas rozmyśli i od sprawy odpadnie. A choć się i trzyma, to mu serce omdleje i w nadziei a wierze osłabnie... jako i mnie dzisiaj. Nie pożałuję krwi swojej, ale dawnej nadziei już nie mam; tak mi jest, jakoby mi jakiś duch szepnął: Na nic to...

I zakrył rękami oczy, co jakby we śnie przez ciąg jego słów gdzieś w nieokreślonej przestrzeni błądziły.

— Bój się Boga, Janie! Nie kracz jak kruk i ducha nam nie odbieraj! — wykrzyknął Andrusikiewicz rozżalony.

Zerwał się z krzesła, co potrącone gwałtownie, z trzaskiem upadło, skoczył ku olbrzymiemu kowalowi i ledwie mu dłoni sięgając, rozerwał je gwałtownie. Ukazała się twarz pobladła bolem i dwie łzy ogromne spływające powoli po śniadych policzkach.

Taka głęboka cisza nastała, jakby się tym spiskowcom, tym polskim „buntownikom" karta losu odwróciła, — jakby im krwawym palcem wypisano przed oczyma: krew, rozpacz, poniewierkę, lochów więziennych ciemnice, trud... daremny i mękę... zapoznaną.

A wtedy, w tę ciszę bolesną wnikł przytłumiony, drżący głos Jędrusów, z księgi ewangelji powoli, słowo po słowie, czytający:

„Odejmijcie ten kamień — rzekł Jezus. Rzekła mu Marja: Panie! Jużci cuchnie, bo już cztery dni w grobie!

„Powiedział jej Jezus: Azażem ci nie rzekł, że jeśli u w i e r z y s z, oglądasz chwałę Bożą?

„Odjęli tedy kamień, gdzie umarły był położony. A Jezus, podniósłszy oczy swe w górę, rzekł: Ojcze, dziękuję tobie, żeś mnie wysłuchał... i zawołał głosem wielkim:

„Łazarzu, Łazarzu, wynijdź sam!"

. . . . . .

Zamilkł dziad, chwilę trwał w zamyśleniu, kiwając siwą głową, poczem szeptem prawie dorzucił:

— Łazarza z grobu wskrzesił... i Polskę wskrzesi... Jeno uwierzcie Panu mocno!...

. . . . . .

Nikt się nie poruszył, nie odezwał. Zatopieni w myślach nie słyszeli, że ktoś w sieni zatupotał, gadał parę słów głośnych, aż drzwi się otwarły szeroko z rozmachem i wszedł ks. wikary Kmietowicz.

Pozdrowił wszystkich imieniem Chrystusowem, zatarł zmarznięte ręce i z zapytaniem w oczach spojrzał po zgromadzonych.

— Cóżeście tak posowieli, bracia? Jakaś zmora spadła? Co? E, tylko się złym myślom nie dać! Sursum corda!

— Habemus ad Dominum — z uśmiechem już wesołym odpowiedział organista, ściskając w obu dłoniach wyciągniętą ku niemu rękę. — Dzięki Bogu, żeście przyszli, jegomościuniu; raźniej nam zaraz na sercu, bo istotnie jakaś ciężka nadleciała chwila.

W długiej, czarnej sutannie, szczupły, wychudzony „jegomościunio" wyższym się jeszcze wydawał, niż był w istocie. Jakoś rósł w oczach, że jakby mu za nisko pod powałą mieszkanka było. Blada jego, zmizerowana twarz uśmiechała się słodko i z miłością, na czole wybitnem, wysokiem świeciła myśl mądra i poważna; w oczach miał smętek, na ustach trochę goryczy, — a nos orli suchy

nadawał tej pięknej twarzy cechę rzymskich bohaterów.

Gdy przycichł gwar powitań, ksiądz zasiadł w podsuniętym mu ceratowym foteliku, rozgarnął palcami kasztanowate, przydługie włosy i zapytał:

— A no, Jędrus, teraz gadaj, coś sprawił? Jakże naród myśli, czy ruszy kupą z nami?

— Jegomościu kochany! ochota jest, zawziętość na Niemców, niech ich kule biją, straszna. Jam ewangelję świętą im czytał wszędy, żeby wiedzieli, że w imię Boże poczynamy, że to za prześladowaną pod Moskalem naszą wiarę świętą, za naszych braci, po więzieniach jęczących, sprawa. Głosiłem, że przychodzi czas, by się naród ruszył, tych psiawiarów wygnał, a sprawiedliwość sobie polską z niewoli podźwignął, dość łez i krwi czerwonej popłynęło. Ale musicie i wy tam, jegomościu, jeszcze iść do nich ze słowem swojem, a potwierdzić, a wyłożyć, jak to wy umiecie. Ludzie was miłują bardzo, w ogieńby poszli za wami, boście jak ojciec dla nich i opiekun dobry. Jak świętego was szanują.

— Pójdę, pójdę między nich. Utwierdzę i uspokoję w sumieniu, że nijakiej pomsty Bożej na siebie nie ściągną. Hej! miły Boże! widziałem się z Goslarem parę dni temu. Prawił mi szeroko, jak się wszędy brać nasza gotuje, a pordzewiałe ostrzy pałasze, by wroga wygnać z naszej ziemi uciśnionej

a biednej. Jakżeby tu stąd iść nie mieli potomki tych, co z Batorym Moskwę zwojowali srogą!

— Oj, jegomościu kochany! — rzecze strażnik Lebiocki — żeby to ludzie mieli w sercach więcej miłości do ojczyzny lubej! Mnieście między strażnikami namawiać kazali. Niewielem ja tam dotąd między nimi zyskał. Jak już ten mundur na grzbiecie nosi, to myśli, że mu Polakiem już być nie wolno. Jakby mu kto duszę przefarbował. A i tego każdy się boi, że w razie czego to służbę i kawałek pewnego chleba straci; a niejednego i żona za połę trzyma i nie puści do niczego, choćby chciał nawet. Na palcach policzyłbym tych, co z nami pójdą.

— To też ja na nich niewiele liczyłem od początku. Tu na chłopie sprawa stoi. Gdy lud ławą ruszy, wtedy Polskę mieć będziem.

— Haj, haj! Nie będzie dobrze na świecie, dopóki się czerniawa[1]) nie ruszy, tak już nasi starzy prawili ojcowie — z westchnieniem Piasek dorzucił.

— Jakeśmy z Woźnym, jegomościu, niedawno u was siedzieli i gadali wtedy, gdy to Goslar przyjechał — przypomniał Andrusikiewicz — to on przecie opowiadał, że Austryjaki nam pomogą i cesarskie wojska będą po naszej stronie. Teraz mi się przecie widzi, że to obiecanki jeno były na omamienie

[1]) Czerniawa = chłopskie pospolite ruszenie.

nasze, bo i pocóżby nas tak śledzili, a zgromadzeń zakazywali, a grozili?

— Na niczyją nam pomoc nie liczyć, jeno na siebie samych — odparł ksiądz, a machnąwszy ręką, dodał: — Dużo nam pomogły obietnice przyjaciół! Napoleonowi utoczyliśmy krwi z pod samego serca narodu, a co nam dał ten mocarz, który tak państwa i trony rozdawał naokoło, jak jabym nie mógł ani tych biednych groszy z mojej kieszeni rozdawać? Nikomu, nikomu nie zależy na tem, żeby Polska była, jeno nam samym. Dlatego ramionami się krzepko połączyć, a piersi tej własnej nastawić! Inaczej nic! I budzić naokoło wszystkich, niech wstają!... bo już świta... Lud... chłopów budzić!...

Wstał księżyna, przeszedł się po izbie szybkim krokiem; oczy mu się przymgliły rozmarzeniem, policzki zaróżowiły zapałem. Przystanął, o ścianę się oparłszy, z rękami na piersiach skrzyżowanemi.

Zaczął ściszonym sennym głosem, który w miarę słów gorętszych potężniał i jak dzwon się rozdźwięczał rozgłośny.

— Zawarte ciężkie wierzeje Giewontu, zawalone lawinami śnieżnemi, zakrzepłe lodami... A w czerwonem słońcu lśni wypukła pierś rycerza, i hełm się błyszczy nad czołem zmarszczonem. Śpi olbrzym, śpi wódz rycerzy, śpi król narodu... A w ciemnych pieczarach, w grotach kamiennych, których wierzeje za-

warte, kędy się anioł ciszy jeno przechadza i czarnem skrzydłem noc wiecznie ciemną rozsiewa, śpią hufce rycerskie... W stalową zbroję zakute, miecze w prawicach dzierżą i nogę w strzemieniu trzymają. Gotowi...

Lecz oczy ich powieką snu przykryte, uszy nie słyszą jęku ojczyzny, pierś nie podnosi się życia oddechem...

...Zaśnione wojsko...

Ludu, ty zbudź ich!

Zleć z gór swoich podniebnych, ciupagę ściśnij w garści, stań jako hufiec Boży, taki biały, ogromny, — załomotaj w Giewontowe skaliska, zbudź Bolesławowe rycerstwo i na wrogie ruń zastępy, a wygnaj za granice odległe, za morza.

A gdy pękną łańcuchy, gdy z brzękiem opadną, gdy Polska piersią już wolną odetchnie, gdy ramiona otworzy szeroko, — toś ty jej zbawcą, mój ludu, i tyś najbliższy, najpierwszy w uścisku tej Matki, — syn jej najmilejszy!...

. . . . . .

Uciszyli się słuchacze w sobie; twarze powagą się przyoblekły, czoła marsem groźnym nastroszyły, w oczach poryw zapału świecił jasny.

— Och, cudnie mówicie, jegomościu! — po długiej chwili prawie szeptem się ozwał Kois Wojciech. — Na wasze słowa to się tak w sercu robi, jakby człek orłem był, a na tym Giewoncie kochanym mieszkanie miał i latał se wolny i pan całego świata.

I zatoczył góral rękami w powietrzu, niby skrzydłami.

— Żeby tak wszyscy, mości przysiężny, serce mieli, jak wy, otwarte i gorące, a szli za mojemi słowami, to i niedługoby czekać, abyśmy naszą Polskę ciupagami wyrąbali.

Tu zasłyszano, jak skrzypnęły drzwi w sieni, a jakiś głos męski wypytywał o coś Andrusikiewiczową, która podczas takich zebrań u męża pilne baczenie na wchodzących dawała.

— Oho! Pewnie jaki czujnos po nocy szpieguje — półgłosem wyrzekł organista, chwytając w rękę Poradnik Gospodarczy; a rozłożywszy go przed sobą, czytać na głos począł pierwszą lepszą stronicę, by się zdawało, że to na gospodarskie sprawy tak licznie doń ludzie się zeszli.

Każdy przybrał minę obojętną, oczy skrył powiekami, by się w nich tylko co wypowiadane myśli nie odźwierciedliły, i bokiem zerkał ku drzwiom, które się nareszcie otwarły, wpuszczając wysoką, dzielną postać górala. Z twarzy, zaczerwienionej mrozem, patrzyły siwe, poczciwe oczy i uśmiech ją rozweselał dobrotliwy. Na ciemnej guni, której nie zrzucił z siebie, i na białych sukiennych spodniach, aż powyżej kolan przymarzłe wisiały kulki śniegu, wskazujące, że się przez zaspy przebierał głębokie.

— A, Maciej kochany! — radośnie zawołał organista, zrywając się z siedzenia,

podwójnie kontent, że to i przyjaznego zobaczył człowieka i że przybraną na twarz i na duszę maskę fałszu odrzucić może. Wszystkim się też tak samo rozweseliły usta, bo każdy znał dobrze zacnego, poczciwego wójta z Witowa, co się zwał Maciej Ciuntak.

On zaś uchwycił najpierw dłoń księdza, całując ją kilkakrotnie z szczerą, a przytem chrześcijańską pokorną miłością, poczem z całą gromadą się po przyjacielsku a ojcowsku powitał.

— Panie Andrusikiewicz! Ja tu do was z interesem wstąpił. Z Nowego Targu wracam. O, miły Boże, cóż to za śniegi! Wczoraj się wybrał ja na piechotę, a dziś trudno do domu się dostać. Trochę mnie tam podwieźli, ale nimem się od krzyża tu dobił, jużem obmarzł cały.

— Kochany Macieju, jaki interes macie, przedłóżcie głośno; myśmy tu sami przyjaciele, a ja nie mam dla nich tajemnic.

— Dobrze, powiem. Bo to nawet żadna tajemnica. I tak, niech dokonam, co to kazali, to i wszyscy wiedzieć będą, a wy mnie tymczasem powiedzcie i roztłumaczcie, co to w tem siedzi. Kazali ci nam wszystkim wójtom do becyrku się stawić na dzisiaj. Ano, była nas tam ćma. Tak i gada nam kreiskomisarz, jak owo nam teraz pod cesarzem dobrze żyć i jak jemu za to i wiernym być potrza, a każdego, coby ludzisków przeciw cesarzowi namawiał, trza związać i do cyrkułu zapro-

wadzić. Tam ci za niego po dwadzieścia papierków dadzą. Ja tam sobie zaraz pomyślał, co takiego handlu ja prowadził nie będę, kto inszy jako chce, ale mnie się to nie widzi, takie, jak judaszowskie, srebrniki brać. Ano, potem jeszcze dali nam nakaz we wszystkich wsiach, na każdym końcu wartę postawić. Ta ci warta musi dzień i noc pilnować, a jak jakiego, co bez paszportu idzie, przyłapie, duchem do dominji z nim. Niech będzie chłop, niech będzie pan i dziad, albo i baba. Za nich też zapłacone będzie. Powiedzcież mnie tedy, co to taki strach padł na Niemców — i jak to z temi nakazami robić, coby se człek chrześcijańskiej duszy nie zwalał?

Szeroko poczciwemu wójtowi wyłożył i organista i ksiądz, czego to Niemcy tak pilnują, i że to tych, co do powstania naród budzą, wyłapaćby chcieli.

— O, Jezusie kochany! jakoś to mnie natchnął szczęśliwie, że ja się tu poradzić przyszedł — zawołał chłop, wysłuchawszy wszystkiego. — Byłbym jako Judasz zaprzedawał najlepszych ludzi i rodzonej ziemi do wolności przeszkadzał. Nijakiej warty nie dam i jeszcze drugim zakażę, a rozpowiem, jaka jest rzecz. Niemieckie dusze! Tak to sprawiedliwych chrześcijan paskudzić chcą. Niech sobie sami pilnują!

Chwilę jeszcze gadali, ale że kukułka wykukała na zegarze dziesiątą już godzinę, poczęli się wraz wszyscy wybierać.

Dziad Jędrus pod kapotę świętą swoją księgę schował i z Janem Zychem, u którego gościnę miał, ku drzwiom się kierował, gdy doń się Jaśko Wróbel przysunął i przymilił:

— Dajcież, Jędrus, mnie tę bibliję, to wam poniosę i podprowadzę do chaty.

— Ehe, synku! Toć z Janem idę, to i opiekę mam dobrą, jakby tam jaki zdrajca mnie do becyrku prowadzić chciał, — a ta książeczka... to mi nie ciężka. Hale! niech cię kule biją! — i tu mrugnął jednem okiem filuternie do młodego — tybyś się chciał za tą bibliją tak wsunąć do chaty, w Hanusine oczka popatrzeć!

— Niech se patrzy, nikt mu ta bronił nie będzie. Najprzód Niemców wypędzim, a na wiosnę weselisko sprawim, aż po górach echo zagrzmi! Jeno się pilnuj, Jasiek, żeby ci Ewa oczu nie wydrapała z zazdrości! — zaśmiał się, poklepawszy olbrzymią dłonią chłopca po plecach, kowal, którego smutne przeczucia gdzieś się już rozpierzchły.

Po chwili opustoszała organistówka, i uczestnicy wieczornego zebrania rozeszli się w różnych kierunkach.

Noc się wyiskrzyła gwiazdami. Świeżo spadły śnieg leżał puszysty i świecił brylantami od ostatnich promieni księżyca, co ponad zębatemi, groźnemi wisiał skałami i białe ich, ośnieżone ściany wysrebrzał blaskiem czarownym. Lasy, śnieżnym natrzęsione puchem, osędziały od lekkiej mgiełki — i, jak w gronostajach, dumne i królewskie stały wokoło.

Siarczysty wziął mrozik; para z oddechu marzła w powietrzu, które było tak ciche, jakby wszystko w śnie jakimś odwiecznym skamieniało i zmartwiało.

Raźno szli drogą przez wieś: Zych, Jędrus stary i Jaśko.

— Był ci czas — rozgadał się Jędrus — że i mnie niejedne takie ślepki czarne, albo i siwe — niech je kule biją — aż przez żołnierski mundur zapadły do serca, ale, że to człek we wojsku służył, pod carewiczem Konstantym, a wiecznie jeno ćwiczenia, a parady miał na głowie, to i co się rozkochał, to wprędce zapomniał. Takem się już i zagnał aż powyżej czterdziestki. Ano, u mego majora służyła za pokojową Rózia, z którąśmy się często widzieli i tak pomału poznali, że się tak między nami ułożyło, abym ja z wojska wystąpił, to się i pobierzemy. Nie była już taka młoda sroka, ale trzydziestu jeszcze nie miała; a jako że porządna bardzo i uczciwa, to i młodo wyglądała i ładnie, żem za nią i świata nie widział. — Aż tu jednego razu powiadają: rewolucja! Hej, miły Boże, co się to działo wtedy! Niech kule biją! Całe Ujazdowskie Aleje, cały Mokotów: jeno wojsko, a wojsko. Stoimy: piechota jak mur! A tu carewicz nadjeżdża: Polaczki za mną! A nasz porucznik do mnie przypada, jako żem był w szeregu najbliższy, karabin wyrywa, w księcia mierzy... Nicem nie wiedział, co się działo, bo się ze mnie w jednej chwili jakby

bryła lodu zrobiła, — a i dziś mi tylko w pamięci stoi jeden strzał, drugi i trzeci, i w oczach widzę jeno zad książęcego konia, już daleko, za Belwederem. Niech go kule biją! Uciekł! — A w Warszawie powstanie! Radość, wesele takie, że człek nie wiedział, czy jeszcze na ziemi, czyli w niebie. Nimem się opamiętał i na chwilę z koszar wyprosił, już i tydzień minął. Biegnę do mojej Rózi, wąsa podkręcam z radości, że ją wycałuję ogniście a naopowiadam się różności, — aż tu patrzę, inna jakaś, nieznajoma w kuchni się przy kucharce kręci. Tak i opowiedzieli mi, że jak rewolucja wybuchła, mówił jej stróż, że nasz pułk tamtędy pójdzie, i ona zbiegła na ulicę, by na mnie popatrzeć i bodaj ręką kiwnąć na szczęśliwą drogę. A tu gdzieś strzelanina się zaczęła. Jakaś kulka się zabłąkała i w same piersi moją kochaną dziewczynę buchnęła! Anim jej już nie widział! Jeno się człek na mogiłki powlókł i popłakał. A teraz — ot samotny, jak palec, dziad ze mnie; kostur i ta książka, co mi po niej na pamiątkę została, to mój cały na świecie majątek.

I chlipnął dziadyga łzami, otartemi prędko rękawem kapoty.

— A nas to już nie liczycie za nic? — Jan Zych mu rzekł, nachylając się i zaglądając mu w twarz. — Toż, gdzie do której chaty przyjdziecie, wszędy was miłują, a dziadusiem kochanym nazywają.

— Hm, dobre i to, aleć zawsze swoja żonka, swoje dziatki, to największa pod słońcem szczęśliwość. E, niech kule biją! Żeby jeno swojej Polski wolnej się doczekać, to jeszczeby dość szczęścia dla serca było — choćby i głową za nią nałożyć.

— Doczekamy się, Jędrusie, a potem mi będziecie ojcować na weselu, jako że wiecie, iż ojca już nie mam — z wesołością w głowie przemówił Jaśko.

— Wiem, wiem, Jasuniu! Że się to takie musiało w lesie niecne drzewo trafić, że takiego chłopa szczerego, jak był twój ojciec, zabiło. Wieczna mu światłość niech świeci!

W milczeniu szli jeszcze nieduży kawałek i w ciszy, w której jeno dziad podśpiewywał sobie smutną melodję:

„Idzie żołnierz borem, lasem"...

Tak stanęli u wrótek Zychowego obejścia.

Od wieków tam na tem miejscu Zychy siedziały, z Batorego czasów jeszcze, kiedy to na Moskwę z królem chodzili, a w nagrodę przywileje dziedzicznego sołtystwa brali. Chata była piękna, duża, sadem ztyłu otoczona, co się dalej o las spierał smrekowy.

Z okien światło padało w podwórku, znacząc na śniegu jasne, długie smugi, a za szybami kręciły się cienie domowników. Na jutrzejszą świętą wigilję krzątano się jeszcze, a Hanuś kwiatki do obrazów wystrzygała z papierków kolorowych.

Zapłoniła się dziewczyna, ujrzawszy z poza pleców ogromnego swego brata, błyszczące radością oczy Jaśkowe.

— Gościam ci jeszcze na chwilę przywiódł, Hanuś. Kontentaś? Co? A no, to mnie pocałuj za to — i schylił się kowal nisko ku dziewczynie, co zawstydzona, zarumieniony policzek przytknęła mu do twarzy.

A rozweselony Jan podniósł ją jak piórko w górę i wycisnąwszy na jej białem czole głośny pocałunek, postawił znów na ziemię, mówiąc:

— Takem rad, że wy się z sobą kochacie, żebym nawet i ciebie, Jaśku, tak na rękach nosił. Ale ja to tak nieraz, jak moje dzieciska śpią, to Anuśkę chwytam i noszę, bo mi tak czasem w piersiach coś wzbiera, że się nie może pomieścić. Wtedybym cały świat nosił na tych kowalskich ręczyskach.

I wyciągnął żylaste, długie ramiona, a gdy mu się Jędrus pod nie nawinął, objął go niemi zamaszyście i do piersi barczystej przycisnął.

— Ot, Jędrus, toby cię i syn rodzony lepiej nie utulił jak ja.

Wesoło się zrobiło w izbie i jakoś aż ciepło od miłości i dobroci tych ludzi.

— A ojciec kiedy wróci? — zapytał Hanki kowal.

— Późną nocką obiecywali wrócić, a może aż i jutro dopiero.

Cieślą bowiem wiejskim a wziętym bardzo był Hanczyn ojciec, więc i mało w domu

bywał, jeżdżąc po całem Podhalu; a w zimie godził roboty na czas letni. Z radością na chwile wypoczynku do domu dążył, gdzie się śliczna jego córuchna Hanuś, po matce sierota, przy dziadkach i wujostwie chowała, a tak do Zychów przylgnął całą duszą, że się i ożenić po raz wtóry nie chciał i chował w pamięci swą słodką Annę, co życie dając pierwszej dziecinie, z rodzicielskiej, słonecznej się chaty na cmentarzyk, w cień świerków przeniosła.

Kowalowa żonka z Hanusią zastawiły szczodrą wieczerzę na białym stole i gwarzono sobie przy jedzeniu i szklaneczce węgierskiego cienkiego winka, serdecznie i wesoło.

A kiedy się Zychowa wymknęła do dzieciaków zajrzeć i do dziadusia starutkiego, wysunęła się gdzieś i Hanusia, a Jasiek wnet za nią.

Stanęli w podwórku przed progiem i chłopiec objął dziewczynę ramieniem.

— Hanuś, ty już jakby moja; dzisiaj mi to przy ludziach Jan rzekł, że niechno po naszej sprawie będzie, a pobierzem się zaraz. Nie potrzebujem się sromać, a chować przed ludźmi, bośmy już jak zmówieni ze sobą.

— Och, Jaśku, naprawdę? Jezusiczkowi dziękuję, bom się zawsze trocha w sercu bała, że mnie tobie dać nie zechcą. I jeszczem się o jedno strachała...

— O co? mów, Hanuś!

— Że... Ewę będziesz wolał lepiej nade mnie.

— Ewę! a, co się tobie śniło! Ani mnie na moment serce do niej nie pociągnęło — no, i wdowa.

— Wdowa, ale bogata — a przecież też tak młoda jak ja, a ładniejsza — i ciebie tak bardzo zabrać chce...

— E, nie praw mi o Ewie! Tyś dla mnie najładniejsza i jedna na świecie, Hanuś złota. Lubiszże mnie, powiedz, bardzo?

— Och, Jasiu...

— Lubisz? powiedz! — szeptał chłopiec, pochylając się nad nią ustami jak krew gorącemi i oczyma czarnemi w jej oczy spuszczone zaglądając.

— Och, lubię... Jaśku... lubię... — rozpłynęły się w ciszy nocnej słowa dziewczyny, a resztę ich stłumił Jasiek, szukając pocałunku ust kochanych i kochających.

Długo tak trwali w uścisku milczącym jak cisza, co nad światem tym, w górach i śniegach przepadłym, wisiała, — w uścisku gorącym, jak płomień krwi młodej, góralskiej, — mocnym, i bezpamiętnym, jak granitowy, odwieczny sen wiszących nad nimi złomów skalnych.

Aż się pierwsza ocknęła dziewczyna. Uchyliła głowę wtył, z pod ciężko opuszczonych powiek, napół sennym spojrzała, rozmarzonym wzrokiem i ustami, jeszcze obezwładnionemi, wyszeptała swą myśl, co ją, widno, z rozkosznego w pocałunku zatopienia obudziła:

— Jasiu — rzekła po chwili — do powstania gdy pójdziesz, a niech ci się co stanie, to moja śmierć! Jakbyś nie szedł, to i tak bez ciebieby ich dość było. —

— Ja... żebym nie szedł?! Hanuś — nie może to być i nie będzie. I ty nawet nie proś. Wszystko tobie na ofiarębym dał, cobyś jeno zechciała, jeno nie mój honor polski!

— Och, Jaśku, mnie strach...

— Czego? Czy to na wojence wszyscy giną mają? Niech ja się rozeprę jak ten dąbek w lesie, niech kosę w garść uchwycę, a w drugą strzelbiczkę, to Niemców tak rozmiotę przed sobą, jak ten wiatr halny, co się rozhula na wiosnę!

— Boję się... aż serce w piersiach drętwieje...

— Żebym to nawet tak tej naszej polskiej ziemi nie kochał, to i takbym poszedł. Hanuś, ty nie wiesz, jaki to żal mnie piecze, a jaka zazdrość, gdy widzę, jak z tej dębowej skrzyni dziadulo twój stare dokumenty wyciąga, a królewskie podpisy pokazuje, a gładzi ręką, jakby dzieci najmilsze po licach. Wy... sołtysy chochołowskie, — a ja co? — ot sobie taki góral prosty; wy... sokoły, a ja Jasiek Wróbel — taki szary wróbel, co w prochu wyrósł ulicznym. Ale ja sobie dokumenty sam wypiszę krwią swoją czerwoną i wtedy przyjdę po ciebie, Hanuś złocista, — jak równy !...

Patrzało dziewczę roziskrzonemi, zachwyconemi oczyma w junacką, zapałem rozgorzałą, i aż zuchwałą postać ukochanego, ale wnet przygasła jej twarzyczka od smutnych myśli, co uparcie wracały.

— Ty pójdziesz — i ojciec — i bracia... Och, Jezusie kochany! To mnie się w trumienkę naprzód trza położyć drewnianą, bo nie strzyma serce tego lęku... — i cała się aż skurczyła i zatrzęsła, jak to ptaszę maleńkie, biedniutkie, zastraszone w dłoni psotnego chłopaka.

— Hanuś, a toś ty nie czytała z książeczek, co nam nasz organista i profesor dawał, jak polskie matki, żony i dziewice same nawet wyprawiały swoich na wojenkę? Ej, Hanuś, przecieżeś Polka też, czegoż tak gołębie serce w tobie?

— Nie wiem, Jaśku, tak już od małości ze mnie się za to pośmiewają.

— Zbierz się w sobie na odwagę, Hanuś najdroższa, a nie strachaj się byle czego. No, ale mnie trza iść do dom. Późno. Teraz już śmiało do ciebie skoknąć mogę, jak jeno chwilkę czasu zachwycę. Jeno mi się nie trap, dziewczyno moja!

I poskoczył do chaty, na dobrą nockę tamtych pożegnać, a wyszedłszy, jeszcze raz ogarnął dziewczę mocno, aż rozkołysał w ramionach, a oczy i usta wycałował z całej mocy.

A w ciemno-błękitnym przestworze nieba migotliwe gwiazdy mrugały nieodgadnionemi złotemi oczyma...

Za chwilę już tylko kroki Jaśka skrzypiały ostrym, suchym chrzęstem po zmarzłym śniegu, — coraz się oddalające — i niknęła jego smukła postać w nocnych szarych cieniach.

II.

Po siarczyście mroźnym styczniu przyszła w pierwszych dniach lutego odwilż. Ciężkie opary mgieł wisiały nad górami, rozwlekały swe leniwe ramiona po lasach, nareszcie objęły świat gęstą, nieprzenikniona, jednolitą zasłoną. Dni stały się mroczne, bez blasku, nocy czarne, niewidne.

Aż przecież 4 lutego pod wieczór trochę przymarzło, mgły się uniosły i począł prószyć drobny śnieżek. Ślizgawica się zato zrobiła taka, że się ludziska po drogach przewracali.

Wieś uśpiła się wcześnie; ledwie gdzie niegdzie światło w okienkach jeszcze błyszczało.

Z Zychowej chaty tylko co się w ćmie nocnej rozeszli: organista, Kois i paru innych.

Termin powstania się zbliżał, więc się często tu lub ówdzie na narady zbierali, obliczając swe siły i udzielając sobie wzajem wieści stamtąd, z dołu: od Krakowa, Wadowic, od Bochni, Tarnowa, lub Sącza. Tu kogoś aresztowano, tam się chłopi gdzieś z kosami gotują, — to jakaś odezwa nadeszła cichaczem, nieznaną drogą, z jednych rąk pewnych w drugie podawana, to jakiś

nakaz z „becyrku", niezrozumiały, spadał na gminy; — było więc o czem gadać.

Został jeszcze w izbie z domowymi Jasiek Wróbel. Chwilę siedział uśmiechnięty i zapatrzony w Hanczyne oczy, poczem ona spuściła głowę nad jakiemś szyciem, a on wziął książkę i począł w głos czytać. Zychowa Maryna obok Hanki siedziała, dziecku koszulinę szyjąc, a kowal o piec się oparł swą wielką postacią i czytania słuchał.

Cały ten wesoły i jasny obrazek przez górne szybki okienek, bo dolne wzorzysta kryła firanka, widać jak najwyraźniej.

Patrzy nań też długo, długo z proga swojej chaty, co na pagóreczku naprzeciw stoi, wdowa Ewka.

Widzi wszystko: i gromadkę naradzających się nad wspólną sprawą, a jaką, — to jej już dawno z rozmów ludzkich wiadomo — i jak się potem rozchodzą, i jak Jasiek ze szczęśliwością w oczach z Hanusią rozmawia — i jak tam wszyscy razem w tej cichej izbie siedzą.

Zazdrość ją szarpie, gryzie w serce, jakby jastrząb dzióbem okrutnym żywe rwał ciało. Oczy zalewa chwilami jakaś mgła czerwona, od której żar bije na twarz jak od ognia. Nogi się uginają bezsilne, to znów w członki wstępuje moc dzika, rwąca do jakiejś drogi, do walki o tego najmilejszego chłopaka, którego

wybrała sobie z pośród wszystkich szaloną niepohamowaną miłością.

A tam się nareszcie Jaśko podnosi i żegnać poczyna. Zychowej w izbie na tę chwilę gdzieś niema, a dobrotliwy kowal, chcąc widać młodym pozwolić na uścisk, na całus niby ukradziony, a więc tem milszy, bierze ze stołu książkę przez Jaśka przedtem czytaną i do szafy ją między inne chowając, filuternie się do siebie uśmiecha. Korzysta Janek z chwili, dziewczynę w ramiona chwyta, do piersi szybko utula i z ust mu skwapliwie podanych, pocałunek gorący bierze.

Ten pocałunek w samo serce Ewę ugodził. Wszystko się w niej jakby wściekło odrazu.

Chustę z pieców na głowę zaciągnęła i nie oglądając się nawet na chałupę, której drzwi naścieżaj otwarte stały, pomknęła w ciemności.

— Pójdę! Już nie strzymam! Niech jemu koniec będzie i mnie! Jego do „aresztu" zabiorą, a ja sobie z jakowej skały tę moją nieszczęsną głowinę rozbiję.

Gna między opłotki wiejskie, drogę wymijając, by się z nikim nie spotkać.

— Przez las obejdę, to i nikt mnie nie ujrzy. Na ranek wrócę i już na wieczór całował jej nie będziesz. Oj nie!

— Do Dunajca niedaleko, żeby jeno ten pies Kulczycki był doma.

— A nie będziesz mnie, psie, nagradzał! Nie chcę! Nijakich twoich bratów na męża

mi nie obiecuj. Za darmo ci wszystkich dam i Jaśka z nimi. Mnie już nie potrza będzie nic.

Dopada lasu. Dróżki żadnej w ciemnicy nie widać. Naoślep idzie, macając rękami przed sobą, ślizgając się na gładko obmarzłym i stromym stoku, padając na kolana i podnosząc się znowu nawpół nieprzytomna.

Suche gałęzie świerków drogę jej tamują, kłują w oczy wyciągniętemi końcami; jakaś ostro ułamana delikatny policzek jej przecina poprzeczną szramą, i krew się ciepła leje poszyi aż na pierś, za koszulę. Nie czuje.

— Żeby się już więcej nie całowali... szepcą trzęsące się wargi.

— Wydam... przyjdą... okują ręce.. Nie będziesz więcej obejmował niemi... O Jezusiczku!... — jęczy w głos.

Z lodowatej, gładkiej dźwiga się powierzchni, paznokciami się wpija w stwardniałe wierzchem zaspy, bo się nogi gdzieś zsuwają, oparcia nie znajdując.

— Hanka ci zemrze z żałości, — niech ta! Ni mój, ni jej nie będziesz.

Łzy z oczu lecą jak grochy, aż się zachłystuje tym słonym jadem. Chusta gdzieś na krzakach zaczepiona, przepadła; kosmyki czarnych włosów lepną do spoconego, mokrego czoła.

— Zabłądziłam widno. Rozum mi się miesza! Nie trafię chyba w tej ćmie!... A oni znów będą... wieczorem...

Zrywa się znowu. W las coraz głębszy się wnurza, ślizga się, zsuwa wtył zpowrotem, w zaspach się powyżej kolan zapada. Mota się między drzewami, w swoje własne ślady napowrót trafia.

Raptem las się z jednej strony urywa... przepaść.

A tam... tam niżej przez gmatwaninę śnieżnych płatków światełka się drobne iskrzą.

— O Jezu! Wilki...

I przed oczyma już Ewce białe migają zębiska... już ciało szarpią zdrętwiałe... A tamci znów się całują...

— O jej! O jej!

— Tam się obrócę, w jenszą stronę.

Ale tu pod świerkiem coś przykucło: czarne... najeżone... Rusza się... o rusza... długie ręce wyciąga, chwyta, za gardło dusi...

— Puść!... mnie w drogę trza... puść!...

I włosy wstają na głowie strachem ogromnym, ciało się zimnym potem zlewa, lęk duszę z niego wypędza.

Puściło, — ale twarz, ręce zdrapało docna, spodniczynę zszarpało.

Jakieś wieżyce, jakieś domy, pałace, kościoły jakieś...

— Co to?

Ha! Mgła — zwodnica, wieś rodzoną przemienia na dziwy!

Oczy przeciera Ewka, po lesie kluczy znowu w ciemności, maca przed sobą, głową w dół wali się głęboko.

— O Jezusie, Panie najmilejszy! już zemrę!...

. . . . . .

Krzyk jakiś — tak blisko...

Biją...

Ludzkie głosy rozmaite, skłócone... ktoś jęknął...

Szamocą się.

. . . . . .

W biednej, poranionej głowie szepce coś tak strasznie:

— Pewnie Jaśka biorą... biją... nie daje się... o, znowu biją... o, po głowie, po tych oczach cudnych, po plecach śmigłych, po rękach... kują pewnie... jęknął...

— O Jezu! nie bijcie! To nie — prawda! On nie ... on nie buntownik... Nie... bijcie!...

. . . . . .

— Zimno... o, jak zimno...

— Co to? Chałupa?... Pole?... Las?...

— Las przecie, las.

— Noc.

— Aha! A Jasiek?...

. . . . . .

. . . . . .

— Ale żeśmy mu wsunęli! Ha, ha, ha!

— Niech ma! Pilnować mu się chciało, czy warta je.

— Wiesz, Józek, że jakby mnie kto miodem pomaścił, takim kontent. Niemiec parszywy. Tyle już ludzi karę napłaciło za to,

że po nocy nie wartują. Hale, — czego wartować? Chcieliby naszych wyłapać, a po aresztach pakować. Niedoczekanie ich!

— E, żeby nawet jednego, dwóch złapali, — to powstanie i tak będzie! Ale niechby tak wszędy tych czujnosów strzepali, jak my teraz tego, toby im się odniechciało szpiegowania.

— A jak się to, psiawiara, za chłopa pięknie przebrał!

— Aleśmy go zaraz poznali.

— A jak się zastawiał, co on z Kościelisk leśniczy, Szmid, i że my kościeliskie chłopy, to go musim znać. Ha, ha!

— Hale, — a ten mu Wojtek w gębę się śmieje: „Dyć leśniczy, to nie cham taki, jak ty, włóko, w pańskim surducie chodzi" — i wali jak w bęben.

— O, ja tam mu też od serca dołożył.

— A ja, myślisz, nie? Użył se człek raz na całe życie!

— Będzie ci on się lizał po tych naszych kułakach; z miesiąc wartować nad nami nie pójdzie!

— Patrzaj, jadą jakieś chłopy.

— Hej, co wy?

— My do Chochołowa.

— To nasi, poznajesz, Józek? Makuch i Styrcula z Dunajca!

— A jakże, prawda!

— Bywajcie, z Bogiem!

— Jak się macie, bracia! Bóg z wami!

— A czego to tak gnacie szkapy?

— No, wam to możem powiedzieć, wy swoi ludzie. Ot bieda!

— No, jaka?

— Rewizję zrobili dziś u Woźnego. Jakiś obraz u jego matuli należli, więcej nic. Ale i tak go wzięli, skuli ręce i do Nowego Targu powieźli.

— O Boże miłosierny! Źle! Ktoś zdradził chybaż?

— Pewnie, że tak. I nawet domyśliwam się, kto ten Judasz niegodny. Bo kiedyś w styczniu jestem ci ja u naszego organisty w Dunajcu, aż tu Woźny przychodzi. Papier jakiś z kieszeni dobywa i czytać pocznie na głos wielki: „Ludzie! pracujcie od świtu do nocy"!... Na szczęście, w tej samej chwilce Andrusikiewicz nadjechał i spojrzawszy, wyrywa ten papier i chowa. Potem mu za to w cichości nagadał, że to proklamacyją czyta, a nie obejrzy się, kto w chałupie. A stał tam akuratnie jednego strażnika chłopiec, z tych, co na nas zawziętość mają okrutną.

— Toć mu się pewnie ten przysłużył.

— A no, i ja tak myślę.

— A wy tu z tem jedziecie umyślnie?

— Nas Woźnowa macierz wysłała czem skorzej na koniach, organistemu dać znać, bo jeno patrzeć, jak na niego te psiagłowce spadną.

— Ja jechał jedną drogą, Styrcula drugą, i tu my się w lasu spotkali.

— A no, to jedźcie z Bogiem! Spieszcie, żeby co naszego Andrusikiewicza nie zaskoczyło, bobyśmy się zostali bez niego jak owce bez pasterza.

— Niech Bóg prowadzi!

— I wam Boże pomóż!

— My też do dom idziem spać, już nas dziś pilnować nikt nie przyjdzie.

. . . . . .

. . . . . .

Budzi się Ewka z odrętwienia, myśli zbiera...

— Kogoś wzięli... skuli... powieźli... bili kogoś...

— Kogoż to?

— O jej, nie wiem.

— Tak wszystko boli... o... głowa strasznie... strasznie.

— Ktoś zdradził...

— Zdradził?...

— Ja nie!... nie... jakiś Judasz...

— Tak, tak, mówili, że Judasz.

— Zdradził Jaśka?...

— Jaśka?... nie, nie, nie... kogoś innego...

— O jej!... kogoż to?...

— Ale nie Jaśka ... nie!

— O Jezu! Szczęście, że nie Jaśka!

— Ale Ewka go zdradzi... ha, ha, ha!... wyda... na bicie... na kajdany... na więzienie... w ciemnym lochu!...

— Och nie, Jaśku, nie!

— Nie wydam! Nie! Schowam, tam schowam w tej pieczarze głębokiej, pod Giewontem...

— A jak znajdą?...

— To wydrę... pazurami temi wydrę... piersiami zastawię... nie dam...

— Hance go dasz?

— Niech ta... dam.

— Aby jeno żył...

— Jaśku, Jaśku serdeczny!...

Roztrzęsła się pierś rozbolała, rozchwiała się głowa biedna, tłukąc z rozpaczą w twarde, zimne lodowiska, skurczyły się palce, włos szarpiąc czarny nad czołem.

I poleciał szloch, jęk okrutny ponad pola zaśnieżone, przez pomroki nocne, w czarne, leśne gęstwy, pod szare, nieprzebite obłoki.

III.

Urzędowe, umundurowane figury dwa dni już w Chochołowie siedziały, konskrypcję prowadząc. Andrusiewicz, w zastępstwie proboszcza, pomagać im musiał i pocił się biedaczysko w trudzie przybierania chłodnej, obojętnej miny, gdy wewnętrznie drżał cały od przelatujących ogni radosnego oczekiwania.

Rad to każdy w tym czasie, kto ciężką dłonią niewoli przyduszon ku cudnemu klejnotowi wolności i wyzwobodzenia wzdychał, czuł się jak na wulkanie, wówczas, w on poczynający się rok 1848: — czuł w piersi swojej odbicie owego drżenia, co szło od zachodu, łomem Europy wstrząsając i grzmiąc hukiem podziemnym, burzę zwiastującym, — burzę, od której grozy pobladnąć miały twarze, t. z pod złocistych, królewskich koron, a szczerwienić się łuną krwi i pomsty te czarne oblicza bezimiennego bezwolnego a nieprzeliczonego tłumu; miały się wzbyłić dumne, diamentami sadzone, władcze berła przed twardą, samorodną dłonią, co się po prawo, po wolność, po równość nieustępliwie wyciągnęła.

A już się luty po połowie przechylił i dzień każdy mógł przynieść hasło: — każdy dzwon,

spokojne „Anioł Pański" za duszyczki mruczący, mógł się rozhulać głosem wielkim na święto bojowe.

To też serca wstrzymywały swe bicia w oczekiwaniu niespokojnem, słuch się w dal wytężał, na ustach wisiało niewymówione pytanie:

— Czy już?...

Zmrok chmurny nad ziemią poczynał już zwisać, gdy szybkim krokiem ks. Kmietowicz do izby wszedł, gdzie właśnie papiery konskrypcyjne składano, bo się mandatarjusz i oficerek, co do tej roboty wyznaczeni byli, na hulankę zapustną gdzieś wybierali.

Krew wszystka zbiegła organiście do serca, bo wiedział, że dla byle jakiej przyczyny, nie szedłby ksiądz między urzędowych jegomościów, których niecierpiał.

— Kochany panie Janie, dobrze, żem was tu zastał, bo prosi mnie w liście ks. Głowacki, abyście mu kancjonał i nuty zaraz odesłali, gdyż mu potrzebne bardzo; posłaniec czeka.

— A dobrze, dobrze, odeszlę mu zaraz — wyrzekł Andrusikiewicz, siląc się, by drżenie głosu pokamować i udanem chrząknięciem pokryć.

„Odesłać nuty i kancjonał"... to umówione hasło, by się co tchu do Poronina stawić po ważne wiadomości.

Gdy się zatem Niemiaszki rozjechali, kowal Zych zaprzągł do saneczek i w trójkę pojechali, ciemnością mglistego wieczoru otuleni.

Zastali w Poroninie i ks. Janiczaka Szaflar i długą, a ostatnią odbywszy naradę, nocką do dom wracali późną.

O, gdyby im wówczas w twarze było zajrzeć przez gęstą nocy zasłonę!...

Zych konia popędzał, ściskając cugle w garści tak mocno, że mu się paznokcie w dłoń wpijały, a w twarzy hardo wzniesionej i w oczach miał ten surowy, twardy wyraz chłopa, co grzbiet długo schylony nareszcie wyprostował i teraz już idzie o swoje i swoich krzywdy się upomnieć, groźny, nieubłagany — i nic go nie wstrzyma.

Ks. Kmietowiczowi pot uperlił czoło wysokie, z którego czapkę na tył głowy zsunął. Jak w cichą ciepłą noc letnią błyskawice zdala przebłyskują, bez echa grzmotu za sobą, zwiastujące tylko, że gdzieś tam zdala huczy burza, piorunami szalejąca, tak blada, wyrzeźbiona chudością twarz księdza rozbłyskała ogniami zapałów i przygasała coraz wewnętrznemi skrupułami wydelikaconego sumienia. W tej gorącej kapłańskiej duszy polskiej toczyła się w tej chwili ostatnia walka między najszerszem i najściślejszem pojęciem przykazania „Nie zabijaj!“ a tradycją, którą wieki w istotę społeczeństw wsączyły: że przemoc przemocą się jeno odpiera; — między nadzieją, że biały ptak królewski z okowów się wyrwie gniotących, a wolny i dumny w błękit pofrunie przejrzysty, — a ciężką zmorą trwogi, że się jeno te śniegi zmarzłe krwi napiją czerwonej,

że jeno łez i bolu przybędzie Ojczyźnie znękanej...

Andrusikiewicz zaś patrzał wzrokiem jasnym i pewnym, z któregobyś tylko zapał i wiarę wyczytał bezgraniczną. Dusza czysta i prosta, po manowcach zwątpień, ich kolcami nie zszarpana, miała przed sobą cel jasny, drogę jedną tylko i prostą: powstaje dziś polski naród, więc i on także i każdy co polskie imię nosi; poniosą bracia życie i krew, to i Andrusikiewicz swojej nie pożałuje. Niech jeno się dźwignie ta pani a królowa cudna i ubóstwiona, co koronę z osędziałych Tatrów nade skronią nosi, a rączęta ma skute w trójchwytne okowy! Niech się jeno dźwignie!... to co tam taki miechodmuch z Chochołowa znaczy!... Żeby i padł!... Pod krzyżykiemby sobie legł na tym cmentarzyku poczciwym wiejskim, a takby się rozparł szeroko jako swobodny człek w swojej wolnej ziemi; — a Tatryby mu się w same oczy śmiały. A synkowie jego szliby sobie poprzez kraj kochany: Hej! Teofilku, Romanku! A wasz ojciec kto?... Kto?... Andrusikiewicz! Chochołowski wódz!... Hej! Nie żal życia, nie!...

Tak w milczeniu, wśród majestatu nocy i majestatu przezierających przez jej osłonę gór podniebnych, snuli swoje myśli własne, które w majestat duszy polskiej zwolna rosły i tężały.

A gdy przed domem organisty zeszli i w próg jasnej izby wstąpili, już w tych czo-

łach ni zmierzchów ni upojeń nie było, ni namysłów ni bojaźni, lecz jeden twardy skrystalizowany czyn!

Rozesłali jeszcze po wsi za tymi, co najpotrzebniejsi i prawą im ręką byli od początku, by im plan wybuchu powstania przedstawić i objaśnić, a na wieczór dnia następnego termin oznaczyć.

Hej, dwudziesty pierwszy lutego! sobotoowa, coś chmurnem patrzyła spojrzeniem na tę w górach zapadłą wiosczynę, gdzie tak mocno i niecierpliwie w tym dniu serca ludzkie biły; wiekiem się zdawałeś długim, ty dniu lutowy, nim zmrok twój padł i skrył te iskry gorące, co się z ócz zbyt jaskrawo sypały, zdolne się zdradzić przedwcześnie, iż płomieniem szerokim wybuchnąć się biorą.

Ponad strumykiem poprzez pół lodem ściętym, co poprzed Zychów obejście płynął, chłopcy ze szkoły bitwę na kule śnieżne toczyli zawziętą, w dwa obozy, gdy z chaty wypadł Janek i szybkim krokiem koło nich przechodząc, zatrzymał się na sekundę.

— Wal, bij! — zakrzyknął gromko. Jakieś mu słowa jeszcze na ustach zawisły, lecz je zatrzymał niedomówione, mazurka zagwizdał Dąbrowskiego, lecz znów go w pół nuty urwał — i mocno ręce w kieszeń zasunąwszy, jakby mu to miało dopomóc do utrzymania się w milczeniu, obejrzał się jeszcze raz ku stojącej na progu Hanusi i pomknął jak strzała, znikając wkrótce w zapadającym zmroku wieczornym.

A Hanuś, oczy za nim wypatrując, rękę na sercu — jak gołąb przelękły się trzepocącem — trzymała, mozoląc się nad pytaniami, co jej w głowie szumiały:

— Czemu Jasiek dziś taki dziwny, taki niecierpliwy?... Czemu całował tak mocno, tak strasznie mocno, że się policzek plamą jeszcze czerwieni gorącą, — czemu te oczy czarne tak się iskrzyły, jako dwa żarzące węgielki w ciemności?... Czy może to już?... O Jezusiczku!... Zmiłuj się!...

I łzy zaczęły się lać palące, niepowstrzymane łzy, co są jękiem i błaganiem — i rozpaczą i nadzieją — i ulgą i zmorą ciężką, co za piersi chwyta i dusi, aż i tchu braknie.

A Jasiek tymczasem organistówki drzwi dopadł i w nich zniknął.

A gdy się ciemność nade światem rozciągnęła zupełna, chmurna i bezgwiezdna, wtedy z domku kilkadziesiąt wyszło postaci krzepkich i dziarskich, pod guniami broń rozmaitą skrywających. Ścisnęli sobie mocno dłonie i po kilku i kilkunastu w różne się strony rozeszli.

Milczenie poszło za nimi; ogarnęła ich cicha moc ducha, co się z wielkiej chwili dziejowej narodził, jej dorósł i z nią się zespolił.

W największej gromadzie ks. Kmietowicz z Andrusikiewiczem szli przodem. Księdzu z pod płaszcza biała widniała komża, i stuła błyskała złotem haftu, gdy poprzed jakie świe-

tliste okna szybkim chodem się przemykali. Organiście szabla raz wraz o kamień brzękła, lub po zmarzłym śniegu zazgrzytła; góral każdy to pikę, to kosę wyproszczoną dzierżył, w przód wyciągniętą, lub się nią ni to pastorałem swego rycerskiego dostojeństwa podpierał.

Prawie że w pośrodku wsi straż finansowa w osobnym domku się mieściła.

Szablę pod pachą ścisnąwszy, spokojnie wszedł tam organista, niby na zwykłe, wieczorne odwiedziny i po przywitaniu zagadnął:

— No, panowie; powstanie dzisiaj w Polsce; wiecie o tem?

— Powstanie? Już dzisiaj? Słyszeliśmy, że ma być, ale że już dziś, to nam niewiadomo.

— Ej, psiakrew, i z nasby niejeden poszedł, żeby już tak naprawdę i żeby się wszyscy ruszyli — młodziutki zawołał strażnik Bilecki.

I przyskoczył do Andrusikiewicza i za guzy czamary go chwycił.

— Takąbym, panie Andrusikiewicz, czamarę na grzbiet zamiast tego munduru włożył, a jeszcze rogatywkę ze srebrnym orzełkiem, — ej, bilibyśmy się!

Przy tem szarpnięciu szabla się zsunęła organiście z pod ramienia i o podłogę zabrzękła, a on, nie dawszy zdziwionym strażnikom ani czasu zapytać, coby to uzbrojenie znaczyć miało, otworzył szybko drzwi, blisko których ciągle się trzymał.

W ten moment, jakby z pod ziemi, wyrosło kilkanaście góralskich, smukłych postaci, aż się niemi zapełniła duża izba. Szybciej niż myśl zdumiona, niż odruch ośmiu strażników gwałtowniej, wyciągnęły się muskularne ramiona po broń, w porządku na ścianach wiszącą. Ani jeden karabin nie ostał się na kołku, — zniknęły ze ścian białych długie, wygięte linje szabel wojskowych, — pistolety, za chłopskie szerokie pasy wetknięte, patrzały czarnemi lufek otworkami w wytrzeszczone oczy swych poprzednich właścicieli.

Między gromadką oniemiałych zdumieniem i nagłością napadu, a porażką osowiałych strażników, a promieniejącymi pierwszym triumfem góralami stał uśmiechnięty ks. Kmietowicz, krzyż w dłoni wyciągniętej trzymając, i obaj z Andrusikiewiczem przekonywali bezsilnych przeciwników o słuszności i zarazem konieczności swego postąpienia. Marszczyli się tamci i głośno przeciw przemocy oponowali, bo też im wstyd było niezmiernie, iż ich tak ubezwładniono odrazu i możność wszelką odporu odebrano.

— Toż dla nas wojskowych wstyd i hańba, księże! — wołał najgorętszy z nich Bilecki, mundur na sobie szarpiąc w bezsilnym gniewie. — Co nam teraz? Ani się jak przed władzą wytłumaczyć, bo nam powiedzą: „Ciury jesteście, niewarte szabli u boku nosić!" Wstyd, wstyd!

— Przejdźcie do nas, to i po wstydzie, Polacy jesteście, więc obowiązek wasz tam! gdzie Ojczyzna woła — rzekł mu Kmietowicz gorąco. — To najprostsza droga Polaka!

— Ej, Polaczki! Wy się jeno wciąż buntujecie! Czy to może wam pod cesarzem naszym jaka krzywda się dzieje? Dziś wy nam broń zabrali, ale jutro my was pokujem i popędzim przed sobą! Buntowniki! — łamaną z niemiecka, lichą polszczyzną, pieniąc się wściekłym gniewem, jeden butny Niemczyk wykrzykiwał.

— Nim tak się stanie, to ty sobie, Niemiaszku, poleżysz tę nockę związany; żebyś się mniej sierdził, chłopczyku! — pokpiwał zeń z dobrodusznym uśmiechem Andrusikiewicz, wskazawszy go palcem chłopom, co tylko rozkazu czekali, łakomie na młodzika spoglądając.

I nim się ramieniem zdołał zasłonić, już leżał ze związanemi wtył rękami, a żylaste ręce góralskie kończyły jakiś misterny nie do rozplątania węzeł grubego postronka.

Zostawiwszy paru uzbrojonych górali na straży, powstańcy kierowali się ku drzwiom, gdy strażnik Bilecki rozerwał mundur gwałtownie, cisnął nim w kąt i tak przed Kmietowiczem stając, zawołał:

— Ja z wami! Niech się dzieje, co chce! Skórę niemiecką z siebie zrzuciłem, terazem wolny!

— Bywaj, bracie! — chórem mu odkrzyknęła gromada, a Wojtek Kois cuchę ze siebie góralską ściągnął i na plecy nowemu ochotnikowi zarzucił, przyciskając go serdecznie do piersi.

— Teraześ nasz — góral sprawiedliwy!

— A no, żem wasz, to wasz, sercem i duszą! No, zaczynam: na dobry początek!

I, że byli już na progu u wyjścia, sięgnął Bilecki ręką w górę, gdzie nade drzwiami przybity orzeł austrjacki wisiał, szarpnął mocno, z hakiem wyrwał, aż mu się gruz za kołnierz posypał, szablicą, któremuś góralowi z dłoni wyrwaną, machnął z całej siły — i napoły blachę i żółto-czarnego ptaka przepłatał.

Tak, o jednego zwiększona i pierwszą pomyślną próbą rozgrzana, ruszyła gromada ku Suchej-Górze, gdzie się komora celna austrjacko-węgierska znajdowała i gdzie urzędował wróg wszystkiego co polskie i na polskie zamiary „rebelji" się wściekający poborca Lasska.

Po drodze przystąpił i Lebiocki strażnik i paru jeszcze chłopów, i tak ochoczo, lecz rozgwaru i przedwczesnego alarmu unikając, doszli do komory.

Zapukał do drzwi Lebiocki, a z wewnątrz głos samego poborcy się odezwał:

— A kto tam — i czego po nocy?

— Posłaniec z Romanji od komisarza. Papiery niosę.

Otwarł Lasska, a stojąc ze świecą w sieni, zaniemówił ze zdziwienia, ujrzawszy księdza w komży i z krzyżem w ręce i organistę przy nim. Bez słowa protestu przepuścił ich do domu oraz hurmę górali, co wtłoczywszy się za nimi, jak mur stanęła dokoła.

— Co to? co to? — wyjęknął nareszcie, blado i niepewnie się uśmiechając — przyszliście mi pogrzeb sprawić?

— E, z weselem my, nie ze smutkiem idziemy — ks. Kmietowicz mu odparł. — Czyż to ksiądz już tylko grzebać umie? Akurat, panie Lasska, do zmartwychwstania z grobu dopomagam dzisiaj moją osobą; nie grześć, jeno kamień grobowy odwalać będziem.

— Bo to powstanie w Polsce; nic to pan nie wiesz o tem? — dodał Andrusikiewicz.

— Tu u mnie powstania robić niema z kim, dajcie mi spokój!

— To też panu damy spokój i niczego się pan obawiać nie potrzebujesz, tylko nam pieniądze celne wydać musisz, — popychając go zlekka przed sobą do pokoju, mówił organista.

— Żebym i nie chciał, to widzę, że mnie do tego zmusicie — odparł skrzywiony poborca — kiedy was taka gromada ogromna, a ja sam jeden.

— A no, sam pan widzisz, że niema rady. Dlatego taką kupą idziemy, aby oporu nie napotkać i nie potrzebować nikogo ukrzywdzić.

— Ale mi pokwitować musicie, bo czem się u góry wykażę?

— Pewno, pewno; przeliczymy, pokwitujemy ładnie, pięknie, bo to nie rozbój, panie poborco, ale porządne, prawidłowe powstanie — przystępując do ogromnego stołu, podrwiwał organista z uśmiechem.

— Powstanie, powstanie! — pienił się wściekły urzędnik. — Tfu, panie Andrusikiewicz, — takeś się to przede mną zawsze składał, że o niczem nie wiesz, żem oberkomisarzowi Molitorowi za was ręczył, żeście człowiek spokojny.

— Ja też do was, panie poborco, całkiem spokojnie przyszedł i spokojnie o pieniądze proszę, tylko trochę przynaglam, bo nas jeszcze dużo roboty czeka.

Przygryzając wąsa ze złości, wyciągnął poborca klucze i otworzył zamczystą szufladę, gdy się nowy rozruch wszczął w sieni, jakby kupa ludzi nowych nadeszła.

Lasska zatrzasnął czem prędzej szufladę napowrót i aż nowe życie poczuł w sobie, myśląc z uciechą, że jakaś niespodziewana odsiecz nadchodzi i wkrótce będzie mógł sobie zadrwić z tych polskich wojowników. Wyciągnął głowę ponad ramiona otaczających go ludzi i z ożywieniem w oczach i z chytrozłośliwym uśmiechem czekał, aż się drzwi nareszcie otworzą.

Wnet jednak przeciągnęła mu się twarz i zzieleniała, bo oto silnym ruchem pchnięte

drzwi rozskoczyły się, i ciżba ludu tłoczyć się poczęła. Wysoka postać sucho-górskiego wójta poprzedzała owe kilkadziesiąt chłopa.

— My wam do pomocy, bracia! Pomożem wam policzyć tę naszą polską krwawicę — wyrzekł wójt, przeciskając się przez tłum aż do stołu.

— Dobrze, wójcie kochany. Chwała Bogu, żeście są.

I poczęło się liczenie drobnych miedziaków i srebra, poczem Kmietowicz z Andrusikiewiczem przejrzeli rejestra, by opłaty węgierskie w kasie pozostawić, a zabrać tylko polskie.

— Słuchajcie, bracia, jaką to sprawiedliwość wam świadczą urzędy: my na polskiej stronie cztery razy tyle cła płacimy co Węgry. Sześćset guldenów naszej opłaty, a sto pięćdziesiąt jeno węgierskiej! Nie krzywdaż to nam wierutna? — zwrócił się Andrusikiewicz do górali, podnosząc w ręce wysoko spory woreczek przeliczonej i zabranej monety.

— To też my idziem tych naszych krzywd sobie szukać — odpowiedział mu któryś z tłumu.

— O tak, tak, dosyć już tego niemieckiego panowania! — dorzucił drugi.

— Węgierskie pieniądze pozostawiamy nietknięte — przemówił ksiądz do poborcy, który chmurnem i gniewnem okiem śledził czynność powstańców, a teraz o brzeg stołu stał oparty, ręce na piersiach założywszy. — A tu zaraz kwit napiszemy.

I wziąwszy półarkusz papieru, szybkiem na nim nakreślił pismem:

— Na rozkaz Naczelnika powstania obwodu sandeckiego zabierają niżej podpisani 600 flor. do skarbu na potrzeby Ojczyzny.

Położył swój podpis, położył go i organista, i poczęli się wybierać, zostawiając straż z kilku górali, aby udaremnić Lassce możność doniesienia gdziekolwiek o tem, co zaszło.

Wychodząc, czuli pod stopami chrzęszczące odłamki blachy, którą tymczasem ktoś z nade drzwi oderwał i potrzaskał, dla nienawistnych na niej namalowanych emblematów niemiłosiernej, obcej przemocy.

Teraz wypadło przez Chochołów wracać, by się do Witowa przedostać i broń, gdzie się tylko da, odebrać.

Organista, że się niedość ciepło wybrał w drogę, przemarzł trochę, zwłaszcza że go wraz z księdzem wsadził Zych na sanki.

— Ej, panowie dowódcy, nie umiecie wy tak chodzić milami, jako my górale — mówił im poczciwy olbrzym z dobrodusznym uśmiechem. — Pomęczycie się nam, zanim jeszcze do bitki jakiej przyjdzie, to i co bez was potem poczniem? Was jegomościuniu powieziem do domu i ostawim; prześpijcie się trochę do rana, bo jutro święta niedziela: księdzem i wojownikiem wam być wypadnie, a z was taki chudziaczek — niebożątko.

— Dobrze radzi Zych — potwierdził Andrusikiewicz — my się już sprawim bez was, księże, idźcie spocząć.

— Ej, Janie Kanty, — jął mu ksiądz grozić z żartobliwym uśmiechem — już widzę, chcesz mnie się pozbyć koniecznie, samemu całą chwałę wziąć dla się!

— Księżuniu kochany, wy wiecie o tem, że i gdyby się z nas każdy w dziesięcioro mógł mnożyć, jeszczeby dla każdego roboty starczyło! A chwała!?... Niełatwo o chwale marzyć na ziemi tej, co miała swoich Żółkiewskich, Rejtanów, Kościuszków i innych legjon! Czy mówi o chwale cichy grób powstańczy na Sybirze, gdzie wielkie, męczeńskie bohaterstwo śpi wśród śniegów i lodów północy? — odparł organista ze smętnym uśmiechem.

— Druhu kochany! Kryształowa duszo! — wyszeptał ksiądz rozczulony.

Po chwili, gdy dojeżdżali przed organistówkę, księżyna zadecydował ostatecznie, że istotnie cokolwiek mu przed dniem jutrzejszym spocząć potrzeba, zwłaszcza że obecność jego nieodzowną nie jest.

Zeskoczył tedy organista przed swojem mieszkankiem, by jakieś cieplejsze przyodzianie na grzbiet zarzucić.

Z okna alkierzyka biło migotliwe, czerwone światełko.

Kmietowicz podniósł się z siedzenia, by wyjść ze sanek. Rzuciwszy przypadkiem okiem

w oświetlone okienko, uśmiechnął się smętnie i rzewnie.

Tam bowiem, w tej niewielkiej, białej izbie, gdzie nietknięte dziś łóżko męża stało przy ścianie, — gdzie w kołyseczce cichutkie, lęku nieświadome, najmłodsze spało dzieciątko, — gdzie się na ścianie starutki Częstochowskiej Matki czernił obrazek i widniała żółtą smużką woskowa gromnica, — tam krzyżem na podłodze leżała postać niewieścia.

Drobne jej kształty czarna kryła suknia — i tylko splot złotego warkocza jasną się plamą odcinał w różowawym półmroku, i tylko dwie białe dłonie, nieruchomo wyciągnięte, chorobliwą bladością się rysowały. Z czołem u ziemi, w błaganiu kornem, cichem, bezmownem pogrążona, nie ocknęła się organiścina na drzwi stuknięcie, ani na kroki męża, który przez próg zajrzawszy, uśmiechnął się smętnym półuśmiechem — i bez słowa, na palcach stąpając, dom opuścił w tej chwili.

I znowu cisza objęła małe pokoiki — i tylko lampka oliwna migotała różowem światełkiem, to jaśniejszy rzucając blask na sczerniałe w starym obrazku rysy Matki Boleści, to przygasając, by skryć wszystko dokoła w swem niepewnem przyćmieniu.

— O Matko Polsko! Ileż cór twoich tak dzisiaj boleść ofiary krzyżuje! — wyszeptał ks. Kmietowicz, gdy się doń Andrusikiewicz przybliżył, jakiś poważniejszy i bardziej skupiony.

Objął go ksiądz za szyję, czując, iż w tej chwili to dzielne, męskie serce wyzuwa się ostatecznie ze wszystkich ziemskich ukochań, że czyni ofiarę ze wszystkiego, co się na ziemi szczęściem nazywa, — że wszystko to teraz na całopalnym goreje ołtarzu tego Bóstwa, co się Ojczyzną, co się zwie Polską!...

Poszedł ks. Kmietowicz powoli do siebie, a oni tymczasem pomknęli znów w ciemną, cichą przestrzeń ku Witowu, gdzie miał się z nimi spotkać Jaśko Wróbel.

On bo uprosił sobie samodzielną do leśniczówki kościeliskiej wyprawę.

Sam jeden, drogą, czyli raczej bezdrożem, przez górki obłe, brnął śniegami, przeskakiwał wąwozy lekki, zwinny jak kozica górska. Znał te przestrzenie doskonale, bo tu leżały chłopskie działki pól, tu zdeptał każdą piędź ziemi, schylony nad pługiem, tu złote owsy siewną dłonią sypał, tu w rosiste, błękitne poranki, rozmachany przy kosie, pogwizdywał od serca.

— Hej — niechno wypędzim tych Niemców, a swoją wolną Polskę odzyszczem, to i chłopu raj się otworzy! Grunta swoje mieć będziem i te polany zielone, i lasu szumiącego kawał; na swojem robić będziemy, nie na pańskiem. O, Jezusiczku, daj, by się powiodło!

I podniecony świetlistemi obrazami przyszłości bliskiej, które mu na tle nocnej ciemności aż oczy olśniewały, szedł coraz szybciej

w górę, z głową podniesioną, sam jeden w obliczu groźnych szczytów i nocy.

— Z Hanuśką pójdziemy se niedzielą tędy, a kłosy się od wiatru chybotać będą, a maki kraśne i bławaty wezmą się uśmiechać i dziękować: „Tyś to, Jaśku, sprawił, że my się tak w słońce wesoło dziś patrzym, wolneśmy kwiatuszki, z wolnej polskiej ziemi wyrosłe...“

— Maki kraśne... czerwone... jak krew...

— Ot, tu jeden... na białym rozkwitł śniegu... ogromny... jak krew czerwony...

Przeciera Jasiek oczy...

— Ejże, maki mi się zwidują! Maki... czy krew?...

— A może i krew! Jutro jej się coś trochę poleje! Jakżeby inaczej? Jak wojna, to i krew. A skaleczą trochę, to się zagoi... coby tam się nie miało zagoić! Człek mocny, hej, jak ten niedźwiedź w lesie, ani mu i kulka niemiecka rady nie da! —

I rozprężył ramiona szeroko, ciupagą młyńca wywinął, a z piersi, radością życia wezbranej, wykrzyknął:

— Hej, hej!

Echo poleciało dźwięczne, hen, popod zbocz skalistą i ni to piłka w trzykrotnym podskoku, do stóp mu, mocy od granitu nabrawszy, wróciło.

W Kościeliskach stanął przed małą, w śniegu do połowy zagrzebaną chatą, i trzy razy w boczne, ciemne okienko zastukał. W chacie ktoś się poruszył, klamką klapnął

i zaraz się z drzwi wchodowych wynurzył młodziutki góralik z ciupagą w ręce.

— Gotóweś, Józek?

— Gotów.

— No, to idźmy!

I we dwóch teraz ku leśniczówce podążyli.

— Tu stań pod oknem, aby cię widać było — rzekł Jasiek towarzyszowi — ja jeno sam wejdę, uwinę się w mig: ale jakby ciężko szło, to skocz na pomoc!

Istotnie Józek stanął przy oknie na straży. Przylepił nos do szyby i wpatrzył się w szerokie bary leśniczego. Aż mu oskoma szła, bo sobie przypomniał, jak to niedawno pięścią po tych plecach Szmida walił z serdeczną ochotą, odwdzięczając mu się wraz z innymi za rozmaite zdzierstwa i ukrzywdzenia ludu i za szpiegowanie nakazanych z urzędu wart.

— O, gdyby tak jeszcze raz powtórzyć! Cicho, nikogo niema, udałoby się! E, nie, — nie można, co powstanie, to nie nocna bitka.

Więc się tylko wyprostował, ciupagę wpół mocno ujął i bacznie śledził, jak się tam Jasiek sprawi i czy mu pomocy dać nie trza będzie.

A tam Jasiek obszedł dom od tyłu, lekko drzwi z sieni do izby otworzył i w swych miękkich kierpcach parę kroków przeszedłszy, sięgnął ku ścianie, gdzie kilka strzelb doskonałych wisiało.

W tej chwili leśniczy głowę obrócił i obcego spostrzegłszy, od stołu się zerwał gwałtownie.

Już jednak Jasiek strzelby w ramionach trzymał, a w zwinności swojej zaufany, chcąc zresztą przedsięwzięcie swoje mniej łatwem uczynić, czarny góralski kapelusik z głowy zdjął i ukłon wdzięczny i uniżony składając, wyrzekł prędko:

— Powstanie dzisiaj, panie leśniczy, strzelby trza dać, później zapłacimy.

I, jak ryś młody a gibki, jednym skokiem znalazł się na dworze, a nim się Szmid sam siebie zapytać zdołał: Sen li czy jawa?... już dwa szybkonogie chłopaki wysoko górą przemykały się między drzewami lasu, drogą ku Witowu.

Tam się do leśniczówki dobiwszy, z gromadą się całą złączyli.

— A gdzież nasz Andrusikiewicz? — zapytał Jasiek kowala Zycha, nie widząc organisty na czele pochodu.

— Sam poszedł do Sochora, z nim się rozprawić, bo się bał, że chłopy okrutną na niego zawziętość mają. Gotówby który nie strzymał, a jego poturbował, toby i nieładnie było.

— A no, to czekajmy.

— Pokaż, strzelbeczki ładne masz! Jakże poszło?

— Ee, co tam! Ani gadać warto. Co mi taka wojna! Każdy na ciebie oczy wy-

trzeszczy i gębę otworzy — tobyś nie strzelbę z kołka, ale grosze z kieszeni mógł mu wyjąć nawet, nimby się ruszył i ręką machnął.

— Czekaj jutra, będziesz się bił. A z czemże było iść na Niemców? z gołą pięścią a ciupagą, a żeby nawet i z kosą, kiedybyś nawet nie przystąpił, a kulka już w piersiach!

— Jabym ta im i zdaleka ciupagą młyńca wywinął, ażby niejedna głowa trzasła! Ale niema gadania, że ze strzelbą lepiej.

I spojrzał Jasiek na zdobyte strzelby tak słodko, jakby na gładkie Hanusine liczko, i ręką je pogłaskał pieszczotliwie.

Po chwili wyszedł organista z leśniczówki i wkładając znów jeszcze parę strzelb i innej broni trochę do sanek, zarządził, by się każdy do dom wracał odpocząć, a jutro rano hurmą do kościoła się stawił, kto żyje.

IV.

— Cóż się tam dzisiaj tak rozdzwonili! Jakby na Boże Narodzenie, albo na Wielkanoc. Idźno tam, panie Janie, do tych chłopaków, niech już przestaną — mówił proboszcz do organisty, gdy po rannej cichej Mszy św. Andrusikiewicz na plebanję wstąpił.

— Dzwonią, księże proboszczu, na wielkie święto: chochołowskie i polskie.

— Hm? Co pan gadasz?

— To ksiądz proboszcz nic nie wie, że w Polsce dziś powstanie?

— Powstanie?

— A no tak.

— A co wam tutaj do tego? Że tam parę tysięcy durniów chce rebelję robić, z motyką na słońce się porywać, to w Chochołowie mają na to dzwonić!?

— Nietylko dzwonią, ale do powstania idą chochołowskie chłopy!

— Co, co? Nie pozwalam! Tu u mnie powstania żadnego nie będzie, żeby mi potem mandatary z rewizjami na łeb spadły, i żeby mnie starego gdzie tam z wami ciągali po więzieniach! Nie chcę, niepotrzebny to rozlew

krwi! — coraz głośniej krzyczał stary pleban i kładł już wyszarzaną czapę na głowę, by przed dom z gromami wypaść, gdy mu u drzwi zastąpił organista.

— Na nic to, księże proboszczu! Początek zrobiony, nie strzymacie narodu. A mogliby też łacno księdza jakiem słowem ukrzywdzić, że im wpoprzek stajecie. Lud jest gorący! Proszę, niech ksiądz da spokój! Ja wiem, że się to powstanie z przekonaniem starszych księży nie zgadza, ale młodzi idą z ludem, i ich naród słucha. Zresztą, jak mówię, początek zrobiony!

— Jaki początek?

— Ano, tej nocy rozbroiliśmy straże finansowe naokoło, leśniczych Niemców, wzięliśmy pieniądze na cle, mamy więc grosze i broń; a to wszystko spokojnie, bez hałasu się stało, bez najmniejszej krzywdy niczyjej.

— Hm, grosze i broń... Niemcy mają ich więcej; zobaczycie, że to się źle skończy, ale ja umywam ręce, sami wypijcie piwo, któreście nawarzyli, — zasapany i ciągle zły mruczał proboszcz, drepcąc po pokoju. Nareszcie rzucił się na starą, ceratową kanapę, — co wraz z dwoma kulawemi fotelami i stołem, szarą, haczykowej roboty serwetą przykrytym, rolę salonowego umeblowania spełniała, — grzmotnął w stół tłustą pięścią i wyrzekł:

— Niemcy to potęga; oj, źle się to skończy! bądź pan zdrów!

Skłonił mu się lekko organista i z uśmiechem plebanję opuściwszy, na cmentarz kościelny wyszedł, gdzie już ćma ludu grupkami stała, podając sobie nowiny, opowiadając nocne wyprawy, śmiejąc się z ogłupienia, jakie wszędzie swem zjawieniem się górale wywoływali, i wróżąc sobie dalsze powodzenie po tak pomyślnym początku.

A dzwony biły i biły... na chochołowskie święto... na „poruseństwo" podhalańskie!

— Hej, miły Boże! Jak się tam od tych dzwonów rozkołysanych i fantazja rozhulała ludzka!

Już tam i Niemców precz do jednego wymietli i Polskę odbudowali, jak długa i szeroka, i urządzili ją sobie pięknie, jak gazdostwo dostatnie, a swemu „jegomościuniowi" młodemu i Andrusikiewiczowi mało że nie sołtystwo w tej dziedzinie kochanej oddali.

Aż oto od wikarjówki jegomościunio nadszedł szybkim krokiem, z twarzą jasną od pogodnego uśmiechu i z oczyma, z których jakby się siały promienie, pełne miłości ku temu pięknemu, dorodnemu ludowi, co go ujrzawszy, tłoczyć się począł ku niemu, iż się zdawało, że go tam, to „chudziątko nieboże", stłoczą i uduszą.

— Bogu się pomodlić! Bogu się pomodlić! — mówił prędko księżyna, przeciskając się przez tłum zwarty, przytrzymywany za poły płaszcza, całowany po rękach, w ramionach chłopskich prawie niesiony, wśród błogosła-

wieństw serdecznych tego ludu i nieustającego huku dzwonów.

Aż trzeszczały stare, drewniane ściany kościółka, gdy się naród nacisnął, choć go jeszcze połowa nazewnątrz pozostała i obległa sczerniałą świątynię szerokim, różnobarwnym pierścieniem.

....Toż to nabożeństwo było dnia tego! O ludzie! Do śmierci nie zapomnieć!

Złocista monstrancja na ołtarzu świeciła jako gwiazda najpiękniejsza! A świec się paliło jak na Boże Ciało! — i w cichości, co się rozsypała po kościele, toś jeno słyszał, jak pryska i syczy żółty wosk na nich, a na mosiężne kapie podstawki.

A jak ci na to najświętsze Podniesienie naród nie jęknie jednym głosem, jak nie załomoce pięścią w tę pierś chłopską, rozmodloną!

— O Jezu!

Tak to wszystko leżało jak snopy zżęte, a czołem biło w podłogę, zmiłowania żebrząc Boskiego.

Organista kochany przy szabli, a z pistoletem u pasa na chórek wlazł, a grał, miły Boże! — jakby jakieś anielskie palce po strunach harf biegały — tak cudnie!

A już gdy wikary na ambonę wyszedł wysoko, gdy jak św. Jan Złotousty zagadał, gdy rozpowiedział, jak to za świętą wiarę naszych braci katują, jak ojcowiznę naszą sławną na kawałki szarpią, ni to ową szatę Chrystusową, — jak wzniósł ręce do nieba, a

błogosławieństwa Boskiego żebrał, a jak wziął odpust na śmierci godzinę głosić, a chwałę w niebie i pamięć świętą u ludzi obiecywać, — to się już naród rozszlochał bez pamięci, a każdy poczuł w piersiach jakoby serce męczeńskie, na wszelki ból — i duszny i cielesny — gotowe, a mężne, jako tych pierwszych chrześcijan i apostołów Pańskich!

A jak się potem one kosy a piki, one szable a karabiny w górę nie podniosą! A ksiądz se idzie pomiędzy naród, a wodą święconą kropi, a błogosławi; a z kadzielnicy jałowiec i pachnąca żywica jeno obłokami buchają, że się i wszystko w onych dymach skryło, — a tyś, cziecze, myślał wtedy, że to one hufce niebieskie Bóg posłał Swoje, aby owe wrogi, owe Filistyny bezbożne przez nie mocą Swoją porazić!...

A gdy się echo Suplikacyj świętych aż hen — w Tatrach zagubiło, to się naród rozsypał po domach, a co z dalszych wsi byli, gnali wartko, żeby to tę milkę jedną i drugą ubiec, a sprawiwszy co trzeba, na odwieczerz jeszcze do Chocholowa powrócić, a gromadę złożyć wielką i zbrojną, podhalańskie wojsko polskie, ono z pod Giewontu, co zaśnione czekało przez wieki!...

Poszły tedy dymy z chałup, gdzie kobiety placki wypiekały chłopom na drogę, a rozczerwieniły się przygaszone przez święto ogniska kowalskie, a rozdzwoniły się młoty, przekuwające kosy na prosto, a poczęli gó-

rale naciągać kierpce nowe na nogi, a serdaki i gunie na plecy, a w torbę pakować, coby pilnie pod ręką potrzebne było, a ruszać ku wikarjówce, gdzie naprzeciw niej, w jednym domu, na noc kwaterować mieli.

Chociaż na wieczór z Witowa, Dzianisza i innych dalszych stron zdążyć jeszcze nie mogli, ale samych chochołowskich, z co bliższymi sąsiadami naszło się przed nocą już parę setek takiego luda, żeś patrząc, jeno się radował i dziwił: człowiek to, czy smrek leśny, gonny a prosty, a krzepki?

Podeszły tam i baby za swoimi Wojtkami, Jaśkami i Maćkami.

Patrzała Hanusia za swym Jaśkiem rozpacznemi, wylękłemi oczyma, z których łzy lały się jedna za drugą po zbladłej nieruchomej twarzyczce, — patrzyła niejedna zaturbowana srodze matula za swym sokołem — jedynakiem; patrzały też i niewiasty, co serca na wzór mężczyznom odważne miały i rosły z dumy, że ich chłopy na wojenkę se idą, wolę zdobywać i wyganiać tych Niemców psiaduszów.

Taką to była Zychowa Maryna, żonka kowalowa. Bo, kiedy organista odprawiał kobiety do domów, jako że nic tam po nich było, ona swego ogromnego męża po rękach całowała, żegnając a zachęcając jeszcze:

— A spraw się dobrze, Janie! Niechaj wiedzą, coś ty z chochołowskich sołtysów, sprawiedliwy Zych! O dzieciska się nie bój nic, i o mnie takoż się nie trap!

— Ej, Maryno, — odrzekł jej organista — już ci Jana napominać nie trza. On taki, jako drugi Bartosz z pod Racławic; nie nastraszy go nic! Jeszcze o nim książki wspominać będą!

A kobiecina promieniała z dumy, wodząc oczyma, jak brylanty roziskrzonemi po swoich smutnych i strwożonych towarzyszkach.

Nocka się ciemniuteńka zrobiła, żeś o dwa kroki przed sobą nie widział. Posłał organista na zwiady poza wieś, czy się też skąd na jakąś napaść nie zbiera; lecz cisza była taka, jakby się cały świat dokoła w śnie głębokim pogrążył, jakby się nikt wokoło o „zbuntowany" Chochołów nie troszczył.

Jednakoż czaty naokoło wsi postawiono, które przez noc czuwać miały, a skoro się z postronnych okolic wszystkie gromady poschodzą, to przed świtem ruszyć uradzono porządnym szykiem na Czarny Dunajec i, dobierając wszędy po drodze co się da chętnego luda, ku Wadowicom sunąć, a Niemców pchać przed sobą i pędzić precz z lubego kraju.

Tak się zarządziwszy, poszedł ksiądz i Andrusikiewicz do siebie spocząć trochę, zezwoliwszy też co bliższym, do domów się rozejść na snu godzinkę, bo się w ciasnocie tak wielka, kilkosetna kupa pomieścić nie mogła.

Jeszcze się mało kto na wezgłowie skłonił, a tu lecą straże a znać dają, a za sznury u dzwonicy ciągną, na trwogę w dzwony biją,

W czarnej ćmie nocy pode wsią samą ni to las wyrósł raptem i posuwa się szybko i czaty spędza, na Chochołów spada jak burza.

Fiutowski to, komisarz z Nowego Targu, i Kulczycki, czarno-dunajecki mandatarjusz, ze strażnikami i z chłopami, co się ich podburzeniu uwieść dali, a urzędowej posłuchali powagi.

Sypią się z chałup górale, biegnie ksiądz, co nie spał jeszcze, a w pośpiechu pi. szcz jeno na bieliznę narzucił i pistolet w rękę uchwycił. Zwołuje za sobą ludzi, kierując się ku domowi, gdzie straż celna mieszka, bo tam się obie kupy ze sobą zetknęły i prawie ramię o ramię się starły.

Gwar się robi i zamieszanie w ciemności okrutne.

— Kto idzie? — pytają z wrogiej gromady.

— Ksiądz jestem! A pocóż to waszmościowie na Chochołów po nocy spadacie?

— Eche, ksiądz... pal w niego!...

I nim Kmietowicz swego zapytania dokończył, nim w bok uskoczyć zdołał, huk pierwszego strzału się rozlega, i księżyna cały nabój śrutu w ramię prawe dostaje... Schyla się, bo mu pistolet z ręki wypadł ubezwładnionej, a już mu strzał drugi dłoń i palce rozrywa, a trzeci schylonemu ponad głową przelatuje...

Gęsta ćma nocna nie daje rozpoznać: swój li czy wróg, toż się potrocha strzy-

mują, zwłaszcza, że chochołowianom i wodza zbrakło na chwilę, gdy się ksiądz do chałupy schronił krew tamować, co mu z ramienia i z dłoni strumieniem uchodziła.

Ale w minut parę Andrusikiewicz z swoimi nadbiega, gromkim głosem szyk sprawia, w strzelców prosto z kupą junaków wali, szablą podniesioną znak do ataku daje.

Fiutowski mu drogę szablą zastawia.

Zadźwięka stal, sypią się iskry czerwone, a raz po raz miasto zgrzytu... żelazo cichutko w ciało zapada, albo po czaszce stuknie, szramę znacząc głęboką.

Wysuwają się bagnety austrjackie naprzeciw kos wyproszczonych, lgną w piersiach jedne i drugie, — aż sykną z bolu usta, aż się jęk w gardle rozcharczy.

Buchnie strzał ze strzelby, rozświetli jednym błyskiem walczącą kupę, i znów się wszystko w ciemności jeszcze grubszej skrywa.

Aliści urywa się wszystko naraz...

Pustka się robi dokoła, ustępują napastnicy, zostawiając swego komisarza na ziemi we krwi. Samych, bez dowódcy, strach ogarnia, bo i Kulczycki gdzieś zniknął, stchórzył, — wreszcie i żal się w niejednym budzi, tak przeciw bratu góralowi nastawać: pierzchają!

Ten i ów chochołowiak rozsierdzony jeszcze a rozpalony starciem, nie po rycersku, ale chłopskiem zawzięciem bitwę pojmując, leżącemu wrogowi rad jeszcze dołożyć i pię-

ścią mało co żywych, albo i martwych dusi a łomoce.

— Psiawiara! nie będziesz to Niemcom służył!

— Przestań; to ja, Andrusikiewicz!

— O jej, toć organista! Myślał ja, że to jaki z tamtych.

— Daj mi rękę, pomóż wstać! Jeszcze mnie tak ze wszystkiem nie zmógł.

Siada Andrusikiewicz na ziemi, dłonią po głowie maca... oho! — jedno cięcie głębokie i drugie, krew kroplami z włosów kapie za kark, z czoła się zlewa na wąsy. Jest i w boku dziura niezgorsza od bagnetu, jeno że płytka, wnętrzności nie ruszyła.

— Tymczasem chustką przewiążę; to nic! A wy tu światła dawajcie, ludzi trzeba opatrzeć a poprzenosić.

Za chwilę robi się jasno od latarń.

— Ej, Jasionkowi z Witowa pogrzebek jeno już sprawim! Szkoda! Dzieciska drobne zostały!

— No, a temu strażnikowi — myślicie — nie? Ani dychnie.

— Aa... komisarz Fiutowski!

— Komisarz?... Janie Zychu, wy go dźwignijcie i na organistówkę z nim, do mego łóżka położyć. W głowę go rąbnąłem dokumentnie.

I szuka dalej organista po pobojowisku.

— A to który? Świećno tu!

Nachylił się ktoś z latarnią.

...Leży sobie góral cudny, jako ten obraz malowany; twarz jak opłatek, ręce szeroko na ziemi rozpostarte. Koszula na piersiach biała, jeno taki czerwony po niej sznureczek... a na śniegu, na zimnym, na białym, taka plama krwi ogromna...

Blask leżącemu w oczy zaświecił, aż się zlekka odchyliły powieki, zamykając się zaraz napowrót, a przez twarz mu uśmiech pogodny przemknął, ni to promień słoneczka Bożego w mglisty, szary poranek.

— Boże miłosierny! Toć Jasiek... — i załamał ręce organista.

— No Jasiek, pewnie że Jasiek jestem... A któż to wołał?... Aha, Hanuśka...

...Słonko świeci tak jasno, aż oczy razi... Przez pole se idą oboje z Hanusią... owsy takie piękne... od wiatru się chybocą... a wśród nich maki krasne, czerwone... Hanka, patrzaj... mnie się kłaniają, dziękują... za wolną ziemię dziękują maki czerwone!... O, jeden taki ogromny... tu... widzisz?... jak plama krwi na śniegu... krwi plama?... nie, toć mak.... I dokumenty mam... Hanuś, o, tu... na piersi... krwią, krwią pisane... O! jak słodko!... jak dobrze... cicho... Hanuś jedyna... tak ci... cho!...

. . . . . .

. . . . . .

Hejże! Sądny dzień się zaczął w Chochołowie w ów poniedziałek okrutny!

Wodze porąbane, postrzelane, — ledwie który żyw, tyle im krwi spłynęło, a nikomu opatrzeć nie było. Niema komu chochołowskiem wojskiem przewodzić, na Wadowice prowadzić! Hej! niema!

A z Cerchlicy, gdzie widok jest precz daleki, pędzi góral z wieścią, że się ćma ludu zbliża: strażniki, a chłopy podczerwieńskie, a dunajeckie, a jeszcze inne.

— Jezusiczku miłosierny! A cóż my z wami zrobim, jegomościu kochany, a organista nasz poczciwy! Kędy to was schować, by was nie pochwytali, a gdzie nie powlekli do turmy!... Do Cichego, w Tatry powieziem!...

I na sanie wsadzają, a poprzez śniegi, przez zaspy Andrusikiewicza wywożą, w Cichem, w chałupie składają.

Lecz jegomość się brać nie daje.

— Zostanę — powiada — jeden musi tu być, żebyście całkiem bez głowy nie zostali.

A tu już tłum we wsi srogi, rozpojony, dyszący.. bagnety strażników połyskują, a lufy czarne jeno pociągnięcia cynglem czekają, — a Kulczycki, jak wilk, ostre szczerzy zębiska, a kłaki smolne, dymiące prawie, pod dachy podkłada, a ryczy:

— Poddać się! Poddać się!

— Poddać się! — radzi jegomość. — Nie dacie rady, ludkowie kochani. Niema komu pokierować, prowadzić, rozproszone owce po-

zbierać, boć pasterze pobite! A tu wam na karku przemoc siedzi, wieś spali, luda wymorduje, że jeno klęska większa, a krzywda wasza cięższa! Poddać się, ludku kochany!

...Poddać się?... Miły Boże!... A gdzież swobody wywalczone?... Gdzie swoja dola a ziemia?... Gdzie Polska wolna, rozkuta?... A gdzież ona sława chochołowska?...

...Hej! niema!

...A ty się poddaj! Poddaj się wojsko podhalańskie! Hufcu Giewontowy!

...Serce ci bolem skowyczy — krwawemi łzami oczy płaczą — ale się poddaj!

...Siwy, stary Piasku, na kosę swoją, co na niej wczorajszej krwi rąbek przyschnięty, — ty białą zatknij chustę, a idź przed te kupy zbrojne, a poddaj się!...

...O jej! Na cóż ci to przyszło, Chochołowie dumny, orłów tatrzańskich siedzibo?!...

. . . . . .

Rozegrała się Grajgóra,*) rozegrała!

.. Zgrzytem zardzewiałych zamków, brzękiem niewolniczych okowów, jękiem katuszy, tęsknoty wzdychaniem, pięścią przemocy dławioną zwrotką: Nie zginęła!...

...Idą chochołowskie bohatery... wytarzane po lochach sądeckich, po lwowskich więzieniach, — oplwane, spoliczkowane, porozbi-

*) Grajgóra cz. Spielberg koło Berna, na Morawach, straszne więzienie dla przestępców politycznych, a potem i zwykłych.

jane po głębokich schodach kamiennych, — z mroków piwnicznych wybladłe, z głodu wynędzniałe, opuchłe z wilgoci i zimna, — idą kościotrupy, cienie ludzkie, — łachmany zgniłego odzienia na sobie obciągają, kajdany na nogach wloką dziesięciofuntowe.

...Idą... za zbrodnię umiłowania Ojczyzny pokutować. . . . . .

. . . . . .

...Czyż ci nie lepiej, niż onym, Jasieńku?!

...Na chochołowskim cmentarzyku leżysz, pod runią zieloną, — gdzie ci się śnią owsy złociste, a maki czerwone, — gdzie ci się Tatrów wierchy o zachodzie purpurą królewską pysznią, a smreki staremi głowami chwieją i o wolności dumę ci szumią, — gdzie Hanuś... Hanuś szalona... między grobkami chodzi, a kwiatki zbiera i ślubny wianek plecie, a mogiłkę twoją całuje i tuli w ramionach, a słodkie słowa szepce. . . . . .

SKARBIEC FARAONA

ZUZANNA MORAWSKA

SKARBIEC FARAONA

OPOWIEŚĆ EGIPSKA

POZNAŃ - - - - - WARSZAWA
KSIĘGARNIA ŚW. WOJCIECHA.

CZCIONKAMI DRUKARN. ŚW WOJCIECHA

I.

Jak król Rampsynit wynagrodził Ptasenita?

— Ojcze, Nil w tym roku nie użyźnił ziemi, tysiące ludzi bez chleba, dzieci umierają z głodu, matki odbierają sobie życie, żeby na ich męczarnie nie patrzeć.

Tak mówiła Rama, jedyna córka Rampsynita, potężnego króla Egiptu.

— Czy i tobie brakuje szat, oliwy, daktyli, przepiórek lub chleba? — zapytał Rampsynit groźnie.

— Mnie ojcze?... mnie nic nie brakuje, bo na twoim dworze wszystkiego jest dostatek — ale...

— Więc czego jęczysz! — przerwał król.

— Lud twój umiera z głodu! — powtórzyła Rama z mocą — nie zląkłszy się groźnego spojrzenia rodzica.

— Niech zdycha! — wrzasnął srogim głosem Rampsynit. Tak srogim, że córka jego aż drgnęła.

Nie odeszła wszakże, bo postanowiła sobie uprosić jakiś datek dla tych, którzy wychudłe ręce wyciągali o kawałek chleba lub w niemocy zupełnej zalegali place i zaułki stolicy, czekając, aż przyjdzie śmierć i z męczarni głodu ich wybawi. Ozwała się też śmiało:

— Nietylko w Tebach i Memfisie, ale w całem twem państwie głód straszny panuje; zaraza szerzyć się zaczyna, a jeżeli tak pójdzie, wojsko twe dotąd niezwyciężone mór zwycięży.

— Wojsku memu nic nie brakuje, a że tłum pożre zaraza, tem lepiej, będę miał mniej do czynienia.

To rzekłszy, Rampsynit plunął przed siebie i wachlowany przez niewolników piórami strusiemi przepojonemi wonnościami, odpędzającemi złe powietrze, majestatycznym krokiem oddalił się w głąb pałacu. Rama osłupiałym wzrokiem patrzyła za oddalającym się rodzicem.

Nie mogła pojąć i zrozumieć zatwardziałości jego serca, ona, co byłaby chętnie swoje z piersi wyjęła, gdyby niem mogła nakarmić zgłodniałych lub dopomóc cierpiącym.

Nie mogąc znaleźć pomocy w ojcu, postanowiła szukać jej u bogów.

A gdy słońce kryć poczęło swe oblicze, Rama w towarzystwie najulubieńszych sobie dwóch służebnic udała się do świątyni Izydy.

Wszystkie trzy pod zasłonami, okrywającemi ich wdzięczne postacie skromne niosły dary.

Rama chociaż była jedynaczką słynącego z bogactw króla, nie posiadała drogocennych naszyjników, maneli ni zausznic.

Ojciec, o ile był bogatym, o tyle skąpym, nie obdarzał więc córki. Jedyny zaś wspaniały kanak w naramienniku oddała już na ryż i oliwę dla tych, którzy umierali z głodu.

Za cały więc dar niosła na ołtarz bogini naszyjnik, misternie własną jej ręką ułożony z pestek daktylowych, dwie zaś służebne ukrywały pod zasłoną nieco

wonności, któremi pani ich nie pozwoliła sobie namaścić włosów ni ciała, oraz maleńką wiązkę sandałowego drzewa dla rozniecenia ognia na ołtarzu bogini. Gdy stanęły u wrót świętych i służebne rozniecíwszy ogień, polały go wonnym olejkiem, a skoro dym wzniósł się lekkim obłokiem przed oblicze Izydy, Rama zawiesiła przyniesiony naszyjnik i, założywszy ręce na piersiach, głosem błagalnym poczęła:

— O, Izydo, która użyźniasz ziemię i każesz jej wydawać owoce, rozkaż, by dała taką obfitość, iżby głodu nikt nie zaznał. Ręce, co się wznoszą w błaganiu ku tobie, niech nie będą wycieńczone i słabe. Niechaj mają siłę, jaką daje praca w sytości. Głos, który woła błagalnie, niech nie wychodzi z wycieńczonych piersi. Niechaj nie będzie jękiem, a dziękczynnem pieniem. Z oczu błagających niech głód nie wyziera. Niechaj wyrażają błogość i wdzięczność. Usta niech nie będą łaknące, a język suchy. Niechaj nasycone wołają dziękczynnie: „O Izydo, Izydo!“

Tak wołała w wielkiem modlitewnem uniesieniu Rama, a służebne powtarzały wyrazy swej pani.

Po skończonej modlitwie królewna umilkła. Znać było wszakże, że w głębi duszy zanosi jeszcze jakąś prośbę. Tak modliła się, by bogowie zmiękczyli serce jej ojca, a ten za złoto, które skrzętnie gromadził, kazał zakupić w sąsiednich krainach tyle zboża, by niem mógł nakarmić lud zgłodniały.

I jeszcze błagała, żeby smutek, który oplątał serce rodzica, precz odszedł, bo ojciec jej był od niejakiegoś czasu bezbrzeżnie smutny.

I ani dźwięk muzyki niewolników, ni tańce uciesznc i śpiewy niewolnic, ni nawet pieśń jej, która dawniej koiła jego troski, nie mogła rozchmurzyć lica Rampsynita.

— Nic, nic zgoła — westchnęła, kończąc swe myśli.

Westchnęły i służebnice, i z tem westchnieniem opuszczały świątynię.

Nagle Rama drgnęła. I jakże drgnąć nie miała. Jakieś jeszcze westchnienie się

ozwało. Ozwało się w chwili, w której nikt być nie powinien w świątyni. Była to bowiem chwila, kiedy prócz królewny i jej służebnic nikt nie miał prawa stanąć przed obliczem Izydy.

Lecz Rama była dziewicą nietylko miłosiernego lecz i odważnego serca. Nie spłoszyło jej więc usłyszane westchnienie. Owszem szła, mijając liczne kolumny, a odgłos lekkich jej kroków mieszał się z dyskretnem stąpaniem służebnic.

Wtem zdało jej się, że słyszy najwyraźniej chód przyczajony. Toż samo usłyszały i służebnice, żadna jednak nie śmiała się ozwać. Nie oglądały się też po stronach, ni za siebie, byłoby to ubliżeniem dla bogini, spłoszyłoby modły, które przed chwilą zaniosły. Nie oglądały się więc. Lecz gdy wyszły, zdawało im się, że postać jakaś wymknęła się za niemi i ukryła się wśród palm w najbliższej wnęce świątyni.

Służebnicom się zdawało. Królewna była pewną. Widziała tę postać, poznałaby w każdej chwili. Poznała i drżała, by nie doniesiono o tem ojcu. Niechybna śmierć czekałaby śmiałka. A śmiałkiem

tym był młodzieniec, który tak samo jak ona starał się ulżyć niedoli ludu, zdobyć nieco ziarna i oliwy dla zgłodniałych. Znała go przecież.

Był to Izones, syn Ptasenita, jednego z budowniczych, którzy na rozkaz ojca wznosili wielkie świątynie i obeliski, stawiali sfinksy po obu stronach wielkiej drogi. Lecz ojciec jej nie wdawał się w onej chwili w takie drobnostki.

Wielki Rampsynit nie prowadził wprawdzie żadnej wojny, lecz był zajęty przeglądaniem planów, które mu przedstawił Ptasenit. A dni upływały mu w takiem zajęciu, że zaledwie spojrzał na ukochaną jedynaczkę, gdy przychodziła oddać mu hołd należny. Spędzono też ogromną ilość ludu. Zaczęto jakąś budowlę tuż przy pałacu królewskim, przy komnacie wielkiego Rampsynita.

Dzień i noc pracowano nad oną budowlą. Sam król pilnował i doglądał. Prócz smagania robotników i przynaglania ich do pracy, dawano im poddostatkiem ryżu i oliwy, ażeby mieli większą siłę do pracy. Upadających pod jej brzemieniem zastępowali inni. Robotnicy upadali, lecz

mury kamienne — mury, jakich dotąd w Tebach, a nawet w całem egipskiem państwie nie widziano, wznosiły się coraz więcej. Nie była to świątynia ni obelisk, lecz mur utkany z wierzchu kamieniami, wygięty we wnęki. A wnęki te i kamienie były tak do siebie podobne, iż obchodzący je nie mógł odgadnąć, od którego miejsca rozpoczął swą wędrówkę. Patrzący przymykał oczy, jednostajność nużyła wzrok i nieledwie przyprawiała o obłęd.

Lecz król znał kamień każdy, a wzrok jego z lubością na wznoszącym się murze spoczywał. Rozpogadzał też coraz więcej swe czoło. Pozwalał nawet w chwilach spożywania wieczerzy pląsać przed sobą niewolnikom. Aż dnia jednego kazał siąść przy swoim stole wielu dostojnikom dworu, przyczem zaszczycił też swą łaską i Ptasenita.

Wielki budowniczy tajemniczego muru siedział przy boku króla. Rampsynit miał rozradowane oblicze, a radość ta udzielała się dworzanom. Radowała się też i Rama.

— Ojciec spełnił zapewne czyn jakiś wielki i szlachetny, jeżeli smutek zeszedł z jego czoła — myślała sobie.

Rozradowała się też jeszcze więcej, gdy ojciec rozkazał:

— Uwesel serce moje i serce gości moich pieśnią, którą najwięcej lubię.

Rama wzięła sześciostrunną harfę i przy jej dźwięku sławiła wielkość ojca swojego i jego wojenne czyny. Rampsynit tak był zadowolony, że zdjął z szyi wspaniały naszyjnik i ozdobił nim własnoręcznie szyję córki.

Ramie zabłysnęły oczy. Zabłysnęły takiem szczęściem, iż przyćmiły prawie blask drogich kamieni, patrzących jaskrawo z naszyjnika.

— Zamienię naszyjnik ten na zboże i rozdam je zgłodniałemu ludowi! — pomyślała.

Lecz Rampsynit, jakby przenikając jej myśli, zawołał:

— Gdy przyjdziesz oddać mi codzienne pozdrowienie, naszyjnik niech zdobi twą szyję!

Serce ścisnęło się dobroczynnej Ramie.

Sądziła, iż ten błyskotliwy drogocenny klejnot będzie mógł otrzeć wiele łez, utulić skargi i jęki, chronić od głodu setki ludzi... A teraz?

— Czyż te błyszczące klejnoty dodadzą mi wartości? Milszą przy ich blasku ojcu się stanę? — pytała sama siebie.

Smutek przepełnił jej serce, łzy cisnęły jej się do oczu. Skrywała je skrzętnie i starała się uśmiechać. Wielki Rampsynit bowiem łez i smutku nie lubił.

Lecz w tej chwili wielki Rampsynit nie patrzył ani na jej łzy, ani wesołości nie dostrzegał. On, rozkazawszy biesiadnikom zostać przy uczcie, Ptasenita tylko wezwał z sobą i oddalił się z komnaty.

Usunęła się też i Rama ze swoim dworem. Usunęła się, by obmyślić, jakimby sposobem nakarmić zgłodniały lud państwa swego ojca.

— Jakim sposobem zmiękczyć serce rodzica i dostać się do jego skarbów? — myślała. — Czyż te skarby czynią go szczęśliwym, kiedy nie ma chwili spokoju i wciąż drży, by ich kto nie zabrał? Czyż nie byłby szczęśliwszym, gdyby miasto

tych błyskotek widział zadowolone oblicza i słyszał głosy, błogosławiące jego hojność! — rozmyślała dalej.

A wielki Rampsynit, wiodąc za sobą Ptasenita, szedł do nowo wzniesionego gmachu z jednostajnych, podobnych do siebie, jak rodzeni bracia, kamieni.

Król i budowniczy długo tam bawili. Król kazał się oprowadzać po wielkiej, ciemnej izbie, a przyświecając sobie lampką, którą sam trzymał w ręku, oglądał grube mury, dotykając ich własnoręcznie. Wchodził na wysoką drabinę i pilnie przepatrywał wszystko.

Gmach zbudowany przez Ptasenita z zewnątrz wyglądał okazale i zdawał się być ogromny.

Podziwiający z zewnątrz ten mur, tak różnego od innych kształtu, mówili:

— Pewnie tam wewnątrz muszą być wspaniałe komnaty. Może wieczne mieszkanie dla wielkiego Rampsynita po najdłuższem jego życiu?

— A może więzienie — dodawali inni z pewnym przestrachem.

Tymczasem nikt się nie domyślał, że tam wewnątrz była tylko jedna ciemna

izba. Mur był gruby na dziesięć sążni, stąd jego olbrzymi wygląd nazewnątrz.

Nie miał okien ani drzwi, był więc podziwem dla wszystkich. Nawet robotnicy, gdyby mniej byli bici, zadawaliby sobie z pewnością pytanie:

— Nad czem my pracujemy? Co to za gmach stawiamy?

Że zaś nie mieli czasu, by zastanawiać się nad czem wogóle, chyba czy bat dozorców nie zrani im pleców, lub czy dopraszające się jadła, głodne wnętrzności dostaną jaki posiłek, nie czynili żadnych domysłów.

Czynił je zato Ptasenit.

Omurował według monarszego rozkazu dość dużą przestrzeń — wprost izbę — wyłożył kamienną posadzką, omurowywał coraz grubszą kamienną ścianą, aż doszła do grubości dziesięciu sążni.

Tak rozkazał Rampsynit. Tak czynił budowniczy.

Aż wreszcie nad tym murem i tą ciemną bez drzwi i okien izbą, położył ścisły, nieprzebyty dach. Wysilał mózg nato, aby dach ów nie opadł. Opierał się bowiem tylko na dwóch kolumnach, a mu-

siał być mocny i również jak i ściany nieprzebyty.

Ptasenit z wielką dokładnością prowadził budowę, nie mógł wszakże oddalić domysłów, jakie przeznaczenie czeka gmach przez niego wzniesiony.

Słuchał rozkazów króla i uśmiechał się w duszy. Uśmiechał się i teraz, gdy przez jedyne drzwi, nader misternie przez niego zbudowane, a wprost z królewskiej sypialni wychodzące, wkroczył do ciemnej izby za monarchą. Uśmiechał się również, patrząc na Rampsynita, badającego pilnie ściany i całe wnętrze ponurej, ciemnej a mocno obwarowanej izby. Spojrzał też nieznacznie na drzwi, prowadzące do królewskiej sypialni, któremi właśnie weszli, i znów się uśmiechnął.

Rampsynit, oglądając pilnie wnętrze wzniesionego muru, spoglądał wciąż na Ptasenita. Przed bystrym wzrokiem monarchy nic się ukryć nie mogło. I teraz, chociaż był prawie pod sklepieniem ciemnej izby, trzymał tak dwuramienną lampę, że ta jednym płomieniem oświetlała ściany, drugim stojącego na samym środku Ptasenita.

Dostrzegł też jego uśmiech. Ba, nietylko dostrzegł, lecz przeniknął do głębi myśli wiernego sobie rzekomo sługi.

Nie rzekł mu wszakże i słowa, tylko dalej z wielką pilnością dotykał wnętrza muru, śledząc jednocześnie zachowanie się budowniczego.

Ale i ten spostrzegł się. Serce w nim zakołatało, bo wiedział, że uśmiech swój może przypłacić życiem. Przybrał więc pokorną, jak można najpokorniejszą minę, nie zmazując wszakże uśmiechu. Owszem zmieniał go tylko powoli w uśmiech poczciwego sługi, radującego się, że mógł zadowolnić wymagania swojego pana.

Z tym uśmiechem podobny był do kamiennego posągu, nakręconego właściwą maszynerją i obracającego się twarzą za prowadzącym wciąż swe oględziny monarchą.

Jednocześnie Ptasenit liczył swe dobre i złe uczynki, rozmyślając, które przeważą, gdy po jego śmierci wielcy kapłani-sędziowie nad jego ciałem sąd uczynią.

Mijały długie godziny, już mu i nogi drętwieć poczęły i straszne znużenie obej-

mowało ciało, a król niezmęczony wciąż prowadził swoje badania.

W ciemnej bez okna izbie Ptasenit nie wiedział, czy noc już upłynęła, przez grube mury nie dochodził głos ludzki. Słowem, nie wiedział, jak długo trwa jego męczarnia stania na jednym miejscu. I gdyby nie głód, który szarpał jego wnętrzności, byłby mógł sądzić, że mocą wszechwładnego króla w kamień został zmieniony.

Zszedł nareszcie Rampsynit z przenośnej ze sznurów drabiny, którą własnoręcznie z miejsca na miejsce przerzucał. Zszedł tak wesoły i niedający znaku najmniejszego znużenia, jak gdyby badanie muru nie było ciężką pracą, lecz doskonałym, po odbytej biesiadzie wypoczynkiem. Dotknął oczekującego jakiegoś strasznego wyroku Ptasenita i głosem wielce łaskawym rzekł:

— Pójdź.

A kiedy weszli do królewskiej sypialni, światło całym potokiem wlewało się przez łuki szeroko patrzących okien. Jaskrawe płomienie kładły się na podłodze zarzuconej szafranowem kwieciem, na

kolumnach podtrzymujących sklepienie. Blask ten olśnił go. Ptasenit uległ jego sile, przymknął na chwilę oczy.

Nagle uczuł, że zapada się w jakąś głębię. Otworzył oczy, ciemność go otaczała. Wyciągnął przed siebie dłonie i dreszcz go przebiegł.

Był w studni.

Okropne zabójcze wyziewy nie pozwoliły mu oddychać.

Wkrótce skończyły się jego męczarnie: Ptasenit żyć przestał.

Rampsynit naciśnięciem jednej sprężyny wynagrodził i ukarał jednocześnie swego sługę.

Wynagradzał tak wielu. Wynagradzał i karał według zasad mądrości egipskiej: wynagradzał, odsuwając pokusy do złego; karał za zbytnią domyślność.

II.

Na co król przeznaczył budowlę Ptasenita?

Chmurne, stroskane oblicze Rampsynita nagle się rozpogodziło. Rozpogodzili też twarze niewolnicy i dworzanie, rozpogodziła swe wiośniane lica i Rama.

Monarcha był wesół!

Odetchnął dwór cały. A stało się to jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Stało się to owego dnia, kiedy Rampsynit zaprosił na ucztę dwór cały. Ukrył ci on się na jakąś dobę, ukrywał się jeszcze i potem wielekroć razy.

Ale i cóż to znaczy!

Lepiej było przez jakąś chwilę oblicza monarszego nie widzieć, aby potem ujrzeć je jaśniejące wesołością i szczęściem.

Nikt nie badał, nikt nie próbował nawet domyślać się, co było przyczyną jego smutku, jak i co sprawiło nagłą zmianę. Domysły wszelkie były wzbronione.

Wiedział o tem dwór cały. Wiedziała o tem Rama. Zresztą, jako kochająca córka, cieszyła się tylko, że ojciec uśmiecha się do niej, że chętnie słucha jej pieśni i pozwala zawodzić śpiewy niewolnikom i niewolnicom. Najwięcej ją wszakże rozradowało, że ojciec w hojności swojej dał jej 100 sztuk złota, mówiąc:

— Roztropność twoja niech tym skarbem rządzi; z zarządu wszakże zdać mi musisz sprawę.

I znów, jak po otrzymaniu naszyjnika, radość królewny w smutek się zmieniła. Widok złota ucieszył ją narazie. Miasto złota widziała już worki zboża. Widziała uśmiechnięte lica nasyconego tem zbożem ludu.

Teraz?... Teraz musi zdać sprawę z otrzymanego daru.

— Lepiej byłoby nie mieć złota, niż patrzeć na te błyszczące blaszki i nie móc z nich uczynić żadnego użytku... — myślała sobie.

Lecz ni smutku swego, ni myśli ojcu nie wyjawiła. Owszem, jak zwykle, okazywała mu radość i zadowolenie. A Nil i w następnym roku nie użyznił piaszczystych niw Egiptu. Nędza jeszcze większa się wzmagała. Skargi i narzekania dochodziły ze wszystkich stron obszernego Rampsynitowego państwa.

Rama chodziła codzień do świątyni Izydy, lecz bogini jakby nie słyszała jej głosu. Nie rozkazała Nilowi wyjść ze swego koryta. Nie rozkazała ziemi, by nakarmiła lud zgłodniały.

Pewnego dnia Rama, będąc w świątyni, spojrzała na zawieszony przez sie-

bie naszyjnik z pestek daktylowych. Wiatr wysuszył pestki. Za każdym jego powiewem wydawały nieprzyjemny łoskot. Łoskot podobny do łomotu skrzydeł żarłocznego ptaka lecącego na żer.

— Nieprzyjemna zapewne bogini moja ofiara — pomyślała sobie — przyjemniejsza byłaby, gdybym te suche pestki spaliła na jej ołtarzu lub przyniosła świeże owoce — myślała dalej — ale owocem nakarmić można chociaż jedno zgłodniałe dziecię... — dodała na usprawiedliwienie się sama przed sobą.

Wtem przyszła jej nagle myśl.

— A gdybym za otrzymane od ojca złoto kazała założyć ogród daktylowy? Tyle pestek rzuca się codziennie... zebrawszy je można cały las zasadzić... złotem opłaciłabym suto robotników, przygotowujących pod mój sad ziemię, część owoców złożyłabym potem na ofiarę Izydzie, resztę rozdała między łaknące dzieci... — myślała dalej.

Oblicze jej przy tych myślach rozpogodziło się — serce zakołatało nadzieją. Rozradowanej zdawało się, że Izyda surową swą twarz rozjaśniła, że pestki na-

szyjnika wydają dźwięk mniej suchy, że szelestem swoim przytakują jej myślom.

— Roztropność ojciec mi nakazywał w wydawaniu onego złota, a roztropnem jest sadzić drzewa. Mogą one przebłagać gniew Ozyrysa i ochronić przed palącym jego promieniem... — mówiła sobie.

Zaraz też przy ogrodach okalających zamek królewski, nawprost komnat Ramy, robotnicy rozpoczęli swą pracę. Suchy, palący piasek przelewał się pod ich łopatami. Lecz żar jego był dla nich chłodzącym. Wszak to Rama, ukochana przez cały lud Rama, wyznaczyła im tę pracę. A nietylko wyznaczyła, lecz hojnie za nią płaciła.

— Niechaj bogowie obdarzą ją szczęściem! — wzdychano, wymawiając błogosławieństwo w duszy.

Jednocześnie gruchnęła wieść, że w wielu miejscach kraju aż po dolny Egipt wszyscy posiadacze większych siedzib każą rozkopywać ziemię, przygotowując ją pod zasiew i plantacje drzew daktylowych. Ba, nietylko kopano ziemię, która chociaż w przyszłości mogła być skropiona wylewem Nilu, lecz kopano na-

wet piasek, na który dotąd nie padło nigdy dobroczynne spojrzenie Izydy, a Ozyrys rzucał żar swojego gniewu.

I za to przesypywanie piasku płacono hojnie, płacono zbożem, sprowadzanem z dalekich krain. A zboże to jakiś wielki dobroczyńca zakupił i słał i słał na pokrzepienie zgłodniałego ludu.

Wieść ta rozeszła się lotem ptaka po całym Egipcie.

Rozeszła się i przepełniła serca nadzieją.

A oto jeszcze Ozyrys nie zdążył się zdrzemnąć i zasłonić swego oblicza, gdy nagle otworzyły się upusty nieba i spieczoną ziemię począł zlewać deszcz obfity.

Deszczu takiego nie widziano od lat dawnych.

Najstarsi ludzie nie pamiętali dżdżu obfitego.

Za panowania Rampsynita zjawił się on po raz pierwszy*).

Deszcz, ta rosa niebieska, te łzy spływające z ócz dobrych duchów, był nielada zjawiskiem.

---

*) Deszcz w Egipcie zjawiał się w starożytnych czasach zaledwie co lat kilkanaście.

Był łaską bogów.

I łaskę tę przypisywano dobroci i cnotom Ramy, tej córy jedynej królewskiej, którą już za życia wielbiono, jako posłankę i ulubienicę bogów.

Może nawet boginię...

Wieści o zakładanych ogrodach, o sprowadzanych worach zboża przez jakiegoś nieznanego dobroczyńcę doszły do uszu króla.

Doszły jednocześnie z kroplami spadającego deszczu.

Lecz wielki monarcha nie miał czasu zwracać uwagi na one wieści.

Nawet deszcz, zjawisko pierwszy raz ukazujące się za jego panowania, niewielkie na nim zrobił wrażenie.

Spojrzał, przyjął do wiadomości i w kronikach zapisać polecił. Zresztą cóż go to mogło obchodzić? On nie widział promieni zsyłanych przez Ozyrysa.

Nie odczuwał też ożywczych i płonodajnych kropel zsyłanych przez jego małżonkę Izydę.

Rampsynit wszystkie chwile wolne od zajęć królewskich spędzał w ciemnej izbie, graniczącej bezpośrednio z jego sypialnią.

Tam pieścił wzrok swój nagromadzonem przez siebie złotem i drogocennemi kamieniami.

Układał je w wielkich skrzyniach, ustawiał stosy rozmaitego kształtu, czynił z ułożonych ławy dokoła wnętrza grubego muru i pieścił wzrok migocącym ich blaskiem.

Co mu tam jakieś ogrody! Co mu tam nawet deszcz!

On rozkoszował się w swoim skarbcu, napawał widokiem bogactw. Milsze mu one były niż ten lud wiecznie buntujący się i głodny. Milsze bodaj od ukochanej jedynaczki Ramy. Za każdem też wyjściem z onego skarbca wzrok królewski jaśniał zadowoleniem. Jaśniał, jakby blasku zapożyczył od klejnotów i złota.

Razu jednego wszakże oblicze Rampsynita znów się zasępiło i stało się chmurne jako to niebo, z którego spływał deszcz ożywczy. Lecz Rampsynit postanowił być wspaniałomyślniejszym od samego Ozyrysa.

Mówił też sobie:

— Ozyrys się zachmurzył. Zachmurzył się, bo małżonka jego Izyda, znu-

dzona ciągłem błaganiem tego utrapionego ludu, wciąż go niepokoiła. Wysłał więc wszystkie płaczki, żeby łzami swemi przesłoniły przestrzeń między jego mieszkaniem i mieszkaniem tych wszystkich, którzy mu spokoju nie dają i nie pozwalają nasycać widokiem złota, którego Ozyrys musi mieć moc ogromną, jeżeli blask jego światu się udziela.

Tak myślał Rampsynit. A rozmyślając, westchnął. W sercu jego zrodziła się zazdrość, że bóg słońca, Ozyrys, ma snać nieprzebrane bogactwa, jeżeli blask ich bije wciąż ku ziemi.

— A nietylko blask, ale i gorącość, muszą więc one płonąć bezprzestannie — rozmyślał król. — I tym płomieniem oczyszczają się wciąż i wciąż pomnażają... — dodał.

I znów westchnął.

— Nie, ja swoich skarbów światu nie ukażę — mówił z postanowieniem. — Gdyby ludzie tak chciwi na złoto się zwiedzieli, jeszcze więcejby mnie niepokoili. Nawet ukochana moja córka wiecznieby zawodziła, że lud głodny i czyhałaby na moje skarby — myślał wciąż Rampsynit.

— Nie, nikt o nich wiedzieć nie będzie. Nie wydam się też z moją troską, że mimo grubego muru, ktoś mnie podbiera... — mówił, namyślając się nad jakimś projektem, który mu snadź przyszedł do głowy. — Owszem, będę udawał wesołego, jak gdyby niczego się nie domyślając. Tym sposobem najłatwiej złowię złodzieja — mówił z postanowieniem. — O znajdę na niego sposób! — dodał, uśmiechając się do onego sposobu.

I odtąd Rampsynit zamykał się z jakimś kowalem. Zamykał się, lecz nie w skarbcu i nie w swojej sypialni, jeno w kuźni, umyślnie na ten cel sporządzonej. A ministrowie, dworzanie i urzędnicy podziwiali pracowitość monarchy. Mówiono też dokoła:

— Wielki i bogom równy, a pracuje jako zwykły człowiek.

Aż kowal dnia jednego zniknął, jak zniknął budowniczy.

Rampsynit znów był wesoły i uśmiechnięty. Słuchał pieśni i muzyki nadwórnych swych pieśniarzy i flecistów, przypatrywał się tańcom i skokom niewolnic,

a śpiew ukochanej jedynaczki najwidoczniej sprawiał mu przyjemność.

III.

Co rzekła Ptahia synom swoim?

Po nagłem zniknięciu Ptasenita cała rodzina jego domyśliła się, kto był przyczyną tego zniknięcia.

Gdy dwie doby upłynęły, matka zwoławszy sześciu synów, spytała:

— Żaden z was nie wie, co mogło się stać z ojcem?

Synowie spuścili głowy i milczeli. Każdy czuł w duszy, że stało się coś okropnego, każdy domyślał się, kto jest sprawcą ich nieszczęścia, żaden wszakże nie śmiał wymówić imienia. Żaden też nie chciał powiedzieć:

— Ojciec nie żyje!

Nie mówiła tego i matka.

Chwilę patrzyli na siebie w niemem milczeniu. Milczeniem i wzrokiem wypowiedzieli sobie to, czego usty nie chcieli, czy nie mogli wymówić. Aż wszyscy razem z wielkim jękiem i żałością padli do nóg matki. A ona rzekła:

— Uciszcie się; jęk i boleść zatrzymać musimy w głębi piersi naszej, w najtajniejszej skrytości serc naszych. Ciało ojca pozbawione zostało sądu i pogrzebu, jak ciało najokrutniejszego zbrodniarza. Był najszlachetniejszym i najpracowitszym, a zginął jako najohydniejszy złoczyńca...

— Śmierć temu, który śmierć mu zadał!... — przerwali synowie.

I z piersi wszystkich sześciu jak z piersi jednego męża wyrwał się ten zgodny okrzyk. I wszyscy zerwali się od stóp matki, i wszyscy zaciśnięte dłonie podnieśli ku górze, i piersi wszystkich sześciu dyszały nienawiścią, a wzrok rzucał błyskawice zemsty.

— Uciszcie się! powiadam wam po raz wtóry — zawołała mężna niewiasta.

A synowie spojrzeli na twarz jej pełną bólu i rezygnacji. Na znak wielkiej miłości każdy dotknął jej i przycisnął rękę do serca. A na znak synowskiego posłuszeństwa pochylili głowy i każdy z nich położył serdeczny palec na ustach.

I znów przeszła chwila w głuchem milczeniu. Aż matka poczęła:

— Łzy i jęki ojca waszego nie wskrzeszą. Każdy jęk, co się wydobędzie z piersi naszych, i każda łza, co spadnie z ócz naszych, uwłaczać będzie jego pamięci...

— Jakto? — przerwali wszyscy razem synowie.

— Ludzie domyślać się będą jego śmierci i przyczyny jego zguby. A że złych nigdy nie braknie, rzucić mogą plamę na imię jego i zbezczeszczą pamięć najszlachetniejszego, najpracowitszego z ludzi.

Tak mówiła mężna niewiasta, wdowa po Ptasenicie, matka sześciu synów.

Synowie, pochyliwszy głowy, podziwiali jej mądrość i męstwo. A ona znów poczęła:

— Religja poucza nas, że dusza człowieka przechodzi według zasług w czyste lub nieczyste zwierzę, albo też wprost w innego człowieka. Dusza ojca waszego, jako najszlachetniejszego i najbardziej poświęcającego się dla nędznego ludu człowieka, może wejść tylko w człowieka, któryby rozpoczęte przez niego dzieło prowadził i, nie uląkłszy się

przed niczem, lud swój i kraj z nędzy i poniżenia wydobył. Dusza jego niech przejdzie w jednego z was! — dodała głosem wielkim, wyciągając przed siebie dłonie.

I umilkła.

A synowie poglądali na się wzajem, pytając się wzrokiem, coby ich rodzicielka przez te słowa rozumiała. A gdy milczeli, matka, zwracając się do najstarszego, spytała:

— Cóżbyś ty dla uczczenia pamięci ojca uczynił?

— Wystawiłbym wielki gmach, tak wielki, iżby dorównywał czynom rodzica — odrzekł tenże.

— Spisałbym wszystkie budowle przez ojca wystawione i wszystkie jego czyny, a zamknąwszy w obelisku, przekazałbym do najdalszej potomności — powiedział drugi.

— Zgładzę ze świata tego, który mu śmierć zadał! — szepnął trzeci.

— Będę przemyśliwał nad sposobem, który mi pozwoli dostać się i zbadać, jakim sposobem i gdzie zginął ojciec nasz; potem wydobędę jego ciało i uczczę

wspaniałym pogrzebem — mówił jeszcze ciszej czwarty.

— Będę pracował jako ojciec, aby we mnie każdy poznał jego syna — rzekł piąty, którego imię było Tetos.

— Będę miłował lud biedny i ostatnim kęsem chleba z nim się podzielę — dodał Izones, który był najmłodszym.

Był on dopiero młodzieniaszkiem, z lat dziecięcych wybiegłym. Lecz mówił głosem pełnym zapału, a zapał ten nie pozwalał wątpić, iż słowa swoje w czyn zamieni.

Matka słuchała wszystkich z wielką uwagą, zapisując sobie w pamięci słowa każdego. Na obliczu jej pełnem powagi i smutku nie można było poznać którego z synów przyrzeczenie i zamiary najwięcej trafiały jej do przekonania. Wszystkich obejmowała wzrokiem prawdziwej macierzyńskiej miłości.

Na każdego też głowę z jednaką czułością dłoń położyła i rzekła:

— Idźcie w spokoju. Każdy niech zajmie się pracą, jaką dotąd prowadził. Dom ojca naszego niechaj będzie, jako był dotąd. Sługi i służebnice, niewolniki i nie-

wolnice niechaj spełniają wszystko jak dotąd, a niechaj nikomu nic nie brakuje. Lecz sługi i służebnice, niewolnicy i najemniki niechaj nic wiedzą nic o sieroctwie naszem. A skoro obcy zapuka do drzwi domu naszego i przestąpi progi nasze, ukazujcie mu lica spokojne i wesołe. A gdy przyjdzie zgłodzony i nędzny, na nędzę ogólną utyskujący, wysłuchajcie skarg jego i nakarmijcie, jako ojciec to czynił. A teraz zostawcie mnie w spokoju, abym mogła ulżyć sercu mojemu, rozważać cnoty ojca waszego i w skrytości łzy nad nim ronić — zakończyła.

Synowie oddalili się każdy do swojej pracy, a matka schroniła się w głębinę domu swego w najodleglejszą jego komnatę.

Lecz i tam nie oddała się łzom i bezmyślnej rozpaczy. Dzielna niewiasta, rzuciwszy kilka ziarn zboża w płonący ogień na domowym ołtarzu, zadumała się głęboko. Wielbiony tak przez nią małżonek krótko przed swojem nagłem zniknięciem rzekł:

— Wielka łaska skończyć się może wielką niełaską, na wszystko trzeba być przygotowanym.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Ptahia.

— To, że monarcha również dobrze może mnie za moją pracę wynagrodzić, jak i życia pozbawić — tłumaczył małżonek.

Ptahia drgnęła i wyciągnęła ręce przed siebie, jak gdyby z grożącem niebezpieczeństwem chciała stanąć do walki.

— Nie drżyj niewiasto, lecz z całą przytomnością umysłu wysłuchaj, coć powiem — mówił Ptasenit.

— Słucham! — wyszeptała Ptahia, zbierając odwagę.

— To co ci powiem, jest wielką tajemnicą, przysięgnij, że do czasu mojej śmierci nie wyjawisz jej nikomu! — rzekł uroczyście małżonek.

— Przysięgam! — wyrzekła jeszcze uroczyściej małżonka.

— Gdy zaś umrę, powierzysz tę tajemnicę temu synowi, którego uznasz za najgodniejszego lub wszystkim, jeżeli postępowaniem swojem zasłużą na zaufanie, albo też uznasz, że do spełnienia tego,

co powiem, pomoc wszystkich będzie potrzebna. Ale powiesz raz jeden tylko i więcej usta twoje tego już nie powtórzą.

— Przysięgam! — powtórzyła znów Ptahia.

A powtórzyła to głosem takim, że tak małżonek, jako i każdy, ktoby był słyszał, mógł być pewnym, że przysięgi dotrzyma. Wtedy Ptasenit wyjawił jej tajemnicę i dodał:

— To wszystko dla szczęścia Egiptu, dla szczęścia zgłodniałego ludu.

To rzekłszy, poszedł do pracy.

Teraz nadeszła chwila, że Ptahia miała tę tajemnicę powierzyć jednemu z synów lub wezwać wszystkich do jej wysłuchania.

Namyślała się więc, jak uczynić. Namyślała się, wzywając cieniów małżonka, żeby ją oświecił.

Po chwili tak sobie rezonowała:

— Jeden nie da rady tak śmiałemu przedsięwzięciu. Gdyby zaś jeden wpadł w zasadzkę, któż go ratować będzie? Gdyby zginął, któż po nim rzecz rozpoczętą prowadzić będzie? Gdyby jednemu zabrakło odwagi, inny musi go zastąpić.

Gdy jeden nie dojrzy i nie znajdzie, inni mu dopomogą. Bo dwanaście oczu lepiej widzi niż dwoje, a dwanaście rąk więcej uczyni niż dwie ręce.

I zawołała synów.

— Przysięgnijcie mi, że żaden nietylko przed nikim nie wyjawi tajemnicy ale nawet między sobą mówić o niej nie będziecie.

— Przysięgamy — zawołali jednogłośnie, podnosząc prawice do góry.

— Działać wspólnie, jako synowie jednego ojca, jako wykonawcy jego woli.

— Będziemy! — powtórzyli znów synowie.

Wtedy wypowiedziała tajemnicę, a oddając niewielki klucz, nader misternie wyrobiony, pouczała, jak go mają używać. Wkońcu dodała.

— Pomnijcie wszakże, iż gdyby jedna najmniejsza blaszka do którego przylgnęła, będzie złodziejem. Bowiem to, co tam znajdziecie, do ludu wrócić powinno.

— Pamiętać będziemy! — zawołali jednogłośnie.

— Idźcie, i niech duch ojca będzie z wami — rzekła Ptahia.

I wyciągnęła dłonie nad głowami synów.

IV.

Co spotkało Rampsynita?

W Egipcie dzięki deszczom i obfitym wylewom Nilu, zakwitać znów począł dobrobyt.

Ogrody połyskiwały dojrzałym owocem — pola dawały dwa razy do roku plon obfity.

Nietylko zaś pola i ogrody zdobiły Egipt — poczęły go zdobić coraz piękniejsze budowle rozrzucone po całym kraju. Kto je budował, kto dawał na nie kamień i cały materjał, kto płacił robotnikom? Trudno było odgadnąć.

Coraz inny człowiek się zjawiał, wskazywał miejsce na wzniesienie nowego obelisku, świątyni czy sfinksa. Zjawiał się, płacił suto dozorców i robotników, i znikał.

Lud uważał go jako posłańca bogów, jako najwyższego dobroczyńcę. Do Rampsynita dochodziły wieści o nowych

kwitnących polach i ogrodach, ten nie troszcząc się zgoła o nie zawołał:

— Za każdy wmurowany kamień muszą mi wnieść opłatę, z każdego worka ryżu i każdego zboża dać miarę, za każde zasadzone drzewo daktylowe zapłacić podatki.

I stało się jak kazał.

Składano daninę, ale budowle rosły, coraz więcej obsiewano pól, coraz więcej zakładano sadów, robotnik wciąż miał zarobek. Wypłacano mu regularnie pieniądze. Lecz w skarbcu królewskim miasto przybywać złota, wciąż ubywało. Rampsynit obchodził z lampką skarbiec, dotykał ręką murów, nie znajdował nigdzie żadnego śladu.

— Co to jest — codzień dokładam złota — codzień w dwójnasób go ubywa! — myślał w wielkiem strapieniu. Żółkł z niepokoju, tracił apetyt, ale nikomu się nie przyznawał, co było powodem jego zmartwienia. Odetchnął dopiero swobodniej, gdy porozstawiał samotrzaski we wnętrzu swojego skarbu.

— Złodziej nie ujdzie bezkarnie! — rzekł z pewnem zadowoleniem, gdy ostat-

ni zatrzask zastawił. Napracowałem się, jak ostatni z moich niewolników! — dodał oglądając poczerniałe i zgrubiałe przy tej pracy ręce. — Niech tam, ukarzę przynajmniej chciwca! Najsroższą karę wymyślę, wystawię go na widok publiczny!...

I naraz myśli te przerwał.

— Wszyscy się dowiedzą o moich skarbach i jeszcze bardziej czyhać będą na moje złoto... — zrobił sobie uwagę. — Nie będą, bo każdy będzie się bał kary, jaką poniesie pierwszy złoczyńca! — perswadował sobie. — Dowiem się przynajmniej, jakim sposobem dobierano się do moich skarbów! — dodał.

Uspokoił się też nieco i zasnął. Z zupełnym też spokojem poszedł następnej nocy do skarbca.

— Teraz nasycę się widokiem niegodziwca! — myślał sobie. — Sam go wywlokę na widok publiczny, sam, bo przecież nikogo do skarbca wpuścić nie mogę — myślał dalej zapalając lampkę. — Gdy mnie ujrzy, skona ze strachu! — mówił okrutny bogacz.

I wszedł do tajemniczego budynku.

Wszedł i zadrżał.

Przy pierwszym zaraz stosie złota leżał człowiek, ale człowiek bez głowy!

Krew rozlała się strugą, skrzepła na granitowej podłodze, ociekł nią kadłub, głowy wszakże nie było. Osłupiał z podziwienia i przestrachu. Zapomniał narazie, poco przyszedł. Po chwili przekonał się, że nietylko ze stosu, przy którym złapał się winowajca, lecz i z kilku najbliżej będących, do których mógł dosięgnąć ręką, złoto zagrabione zostało!

Wrzasnął z rozpaczy. Ograbiono najznaczniejszą część jego bogactw. Teraz po nich świeciło tylko kilka sztuk, których złoczyńca nie mógł już dostać.

— Dowiem się przynajmniej, jakim sposobem ten niegodziwiec dostawał się tutaj — rzekł Rampsynit.

I omijając pozastawiane sidła, obejrzał znów mur tuż nad leżącym bez głowy człowiekiem.

Kamienie były szczelnie ze sobą spojone. Najmniejszego nie było śladu, aby którykolwiek z nich był ruszony. Rampsynit próbował który z nich poruszyć, pukał, stukał, okrwawił sobie palce, nie mógł wszakże znaleźć najmniejszej szcze-

liny. Głuche tylko echo powtarzało jego uderzenia, przerażając ponurym swym głosem.

Nagle ozwał się trzask.

Rampsynit uczuł, że go gwałtownie chwycił ktoś za nogi. Lampka z rąk mu wypadła. Światło jej zamigotało i zgasło na kamiennej posadzce. Ciemność bezmierna ogarnęła nieszczęśliwego.

Stał przykuty samotrzaskiem, zastawionym przez siebie samego. On pan wielkiego państwa, sam jeden w ciemności, przykuty do miejsca, obok niego kadłub okrwawiony. Złoczyńca!

— Nie jestem przecież złodziejem własnego złota! — zawołał.

Lecz znów tylko echo powtórzyło jego wyrazy. Usiłował wyzwolić się z samotrzasku, lecz przekonał się tylko, że kowal, który pod jego nadzorem go wykonywał, spełnił swe dzieło doskonale.

Godziny mijały. Rampsynit nie liczył ich biegu, nie wiedział też, jak długo w skarbcu swym, w tym ulubionym skarbcu pozostaje. Wołał tylko:

— Przeklęty, obym cię nigdy nie budował!

Wszystko to jednakże nie pomagało. Czuł tylko, że omdlewa ze znużenia i głodu. Usta spieczone łaknęły kropli wody. Nigdzie nic!

Wyciągnął rękę i natrafił na sztukę złota. Rzucił ją z pogardą, wołając:

— Czemu nie jesteś kęsem chleba lub kroplą wody! Zginę z głodu i pragnienia śród tylu bogactw!... — rozmyślał.

Dobywając ostatnich sił wołał o pomoc. Lecz głos jego coraz słabszy milknął w przestrzeni.

— Oddam resztę tych bogactw za kroplę wody! — wołał, wijąc się w gorączce. — Kto mnie uratuje, oddam mu połowę mojego królestwa i córkę swą za żonę! — z całych sił krzyczał.

...Oddam mu całe królestwo, a sam będę jego niewolnikiem! — wrzasnął i upadł w ostatnim wysiłku.

V.

Co usłyszała i co uczyniła Rama?

Gdy Rama przyszła na drugi dzień, by ojcu oddać dzień dobry, długo czekała w przeznaczonej ku temu świetlicy.

Ojciec się nie ukazał.

Zaniepokojona poczęła rozpytywać dworzan. Wszyscy ze schyleniem głowy odpowiadali:

— Monarcha równy Ozyrysowi nie ukazał nam jeszcze swego oblicza. Nie dał też znaku, by stopa śmiertelnika stąpiła na próg jego sypialni.

Gdy nadeszła godzina przyjęcia ministrów i urzędników, sale przepełnione były oczekującymi.

Ozyrys, bóg słońca, słał swoje promienie, które ozłacały głowy oczekujących, lecz równy Ozyrysowi Rampsynit nie ukazywał się i nie ukazywał.

Niepokoiło to wszystkich, drętwieli w oczekiwaniu, godziny mijały. Ozyrys cofnął swoje promienie i otuliwszy się ciemno-błękitnym płaszczem poszedł na spoczynek. Rampsynit się nie ukazywał. Pałac przepełniony był coraz więcej napływającymi urzędnikami. Rampsynita nie było.

Stoły o oznaczonej godzinie przepełnione były potrawami, zapach ich rozchodził się po przyległych komnatach, drażnił powonienie oczekujących na ukazanie się Rampsynita. Króla nie było.

Przeszedł w takiem oczekiwaniu dzień, przeszła i noc.

Rama była w rozpaczy; poradzić jednak nic nie mogła.

Nikt nie śmiał wejść do sypialni jej ojca. Wzbraniał tego surowy rozkaz króla. Wzbraniała etykieta dworska, która najwyraźniej oznajmiała:

„Bez wezwania równego Ozyrysowi pana, nikt nie przestąpi jego sypialni!"

— Co robić? co robić — pytano.

— Niepodobna przecież zostawić ojca zamkniętego dzień trzeci! — mówiła zrozpaczona Rama.

I chciała, łamiąc wszelkie rozkazy i etykietę wejść do ojca. Powstrzymali ją dworzanie i ministrowie, mówiąc:

— Co czynisz, córko boskiego Rampsynita! co czynisz uwielbiana przez wszystkich Ramo! Przełamując dotąd chowane na dworach królów egipskich zwyczaje, narazisz się na gniew bogów!

— Według regulaminu, córka, która ośmieliła się przestąpić próg komnaty ojca bez wyraźnego jego rozkazu, winna być zamknięta na całe życie w ciemnicy! — mówiono.

— A któż będzie pamiętał o biednych? kto zgłodniałe dziecięta opatrzy?... — wołano.

Chcąc nie chcąc, Rama musiała ulec zwyczajom, których nikt bezkarnie nie odważył się przestąpić.

— Zwołać najuczeńszych kapłanów, niechaj orzekną, co czynić! — zawołała córa królewska.

— Zwołać! — przyświadczono jednogłośnie.

Zeszli się najuczeńsi kapłani. Lecz nim przeszukali wszystkie księgi, zaczerpnęli mądrości z głów swoich, upłynęła noc druga.

Już Ozyrys budzić się począł, a blask jego oczu począł rozdzierać ciemności nocy, gdy kapłani w otoczeniu najrozmaitszych dworzan i urzędników weszli do królewskiej sypialni.

Łoże, na którem Rampsynit zwykł spoczywać, było nieporuszone, lwie skóry w najzupełniejszym leżały porządku, lampa tylko, która miała oświetlać sypialnię, czarnem wypalonem swem wnętrzem na przybyłych patrzyła.

Przy świetle pierwszych promieni Ozyrysa rozglądali się po królewskiej sypialni.

Lęk zabobonny ich ogarnął. Oprócz tych, któremi weszli, drzwi innych nie było. Drzwi prowadzące do skarbca były tak misternie w sztukaterji i ozdobach marmurowych ukryte, że nieświadome oko żadnym sposobem odróżnić ich nie mogło.

— Boski Rampsynit zniknął z przed oczu śmiertelnych, poszedł na mieszkanie do brata swego Ozyrysa! — orzekli jednogłośnie mędrcy.

— Poszedł! — powtórzyło zgnębionym głosem całe otoczenie.

Wtem z pałacu od głównego wejścia ozwał się głos Ramy:

— Ojcze, ojcze!

— Boski Rampsynit wraca! — zawołano.

I śpiesznie opuścili sypialnię, żeby nie narazić się na gniew powracającego.

Jakiż uderzył ich widok!

Kilku nędznych niewolników na prostych noszach wnosiło nie dającego znaku życia Rampsynita. Rama z jedną ze swych służebnic postępowała przy noszach.

Część nocy przepędziła w świątyni Izydy. Błagała bogini, by objawiła co mogło się stać z jej rodzicem.

Gdy przed świtaniem opuszczała świątynię, służebnicom się zdawało, że wśród kolumn i drzew palmowych przemknął cień. Rama była tak zgnębiona zniknięciem ojca, że nic koło siebie nie widziała.

Nagle usłyszała:

— Pod murem przytykającym do sypialni Rampsynita znajdziesz go!

Rama, nie zwlekając, pospieszyła na wskazane miejsce. Znalazła ojca z nogami w samotrzasku, wyrwanym z kawałem granitu z ziemi.

Osłupiała.

Domyśliła się teraz, co znaczył ów gruby mur przytykający do sypialni jej ojca. Domyśliła się wszystkiego. Rozkazała zabrać nieszczęśliwego.

Rampsynit dawał słabe oznaki życia.

Rama bolała nad chciwością ojca, lecz jako dobra córka bolała nad jego strasznym stanem.

— Czy żyje? — pytała, pochylając się nad obezwładnionym.

I w całej swej rozpaczy a szczerej miłości dziecięcej, błagała mędrców, uczonych i doktorów, by ratowali jej ojca.

VI.

Kto uwolnił Rampsynita?

Tajemnica powierzona przez Ptasenita żonie, a powtórzona przez nią synom, była wprost oznajmieniem, jakim sposobem dostać się można do królewskiego skarbca.

Ptasenit, budując takowy, myślał:

— Wiem, że życiem przypłacę, niech je przynajmniej poniosę na ofiarę tych, którzy cierpią. Niechaj skarby, nagromadzone przez skąpca idą do tych, z których je wycisnął. Złoto do mnie ni do żadnego z moich synów nie przylgnie, lecz niech się stanie wodą gojącą rany, chlebem przynoszącym ulgę nieszczęśliwym. Bogowie wszyscy i ty, najwyższy Ozyrysie, przebaczcie mi ten podstęp!

Tak myślał i tak modlił się budowniczy, gdy wmurowywał kamień, nie różniący się niczem od innych, który wszakże, znającemu sekret, otwierał wejście do skarbca.

Synowie, idący w myśl ojca, czerpali z królewskiego skarbca.

Żaden grosz do nich nie przylgnął, ale lud biedny, mając doskonałe zajęcie przy zakładaniu ogrodów i wznoszeniu budowli, nie cierpiał głodu. W rok Egipt zielenił się od nowozasadzonych gajów daktylowych, od pól zasianych ryżem, a zawodnionych podziemnemi kanałami, sprowadzającemi wodę z Nilu.

Izones głównie nad tem pracował. bracia pokolei wchodzili do skarbca i dostarczali pieniędzy. Gdy jeden wchodził do wnętrza, inny stał na straży. Nie potrzebowali tego czynić codziennie. Czynili to w miarę potrzeby.

Teraz, gdy taka chwila nadeszła, Tetos wdarł się do wnętrza, Izones straż trzymał. Tetos wszedł odważnie. W wór przyniesiony wrzucał bezmierne skarby, gdy nagle usłyszał trzask i uczuł, że jakaś nieznana mu dotąd siła za nogi go trzyma.

— Nadeszła ostatnia moja godzina! — pomyślał. — Nic mnie już nie uratuje! Zginę, zginą bracia moi, zginie i matka moja! Nie, na to pozwolić nie mogę! — zawołał.

Izones będący w otworze usłyszał głos jego i zapytał:

— Czy mam ci przyjść w pomoc?

— Nie wchodź, bracie kochany, jestem złapany w samotrzask, przy świetle lampy widzę jakieś ślady, które nie są czem innem, tylko porozstawianemi samotrzaskami. Wpadłbyś tak samo, jak i ja.

— Ależ ja muszę cię ratować! — odkrzyknął w głąb Izones.

— Mnie już nikt nie uratuje! — odparł Tetos. — Zabieraj złoto! — dodał stanowczym głosem. — Naładowałem go tak dużo, że nie wiem, czy wór udźwignięsz...

— Nie obawiaj się — odparł Izones — silny jestem, a osły, stojące opodal, pomogą mi w tej pracy.

— Dawaj jeszcze sakwy! — zawołał Tetos.

Brat uczynił zadość jego rozkazom. Tetos, stojąc w miejscu, nachylał się, jak mógł najdalej, czerpał z ułożonych ław i stosów złoto, a napełniwszy znów olbrzymie sakwy zawołał:

— Zabieraj!

— Ale cóż z tobą się stanie? — spytał Izones.

— Daj jeszcze jedną sakwę, włożę w nią głowę i owiążę koło uszu, potem wejdziesz o tyle, żebyś mieczem szyi mej dosięgnął...

— Tetosie, chcesz, żebym był bratobójcą! — przerwał z oburzeniem Izones.

— Jeżeli nie chcesz być bratobójcą jednego, staniesz się nim czterykroć — staniesz się matkobójcą, splamisz imię naszego ojca, a wkońcu uczynisz się samobójcą! — mówił Tetos. — Dalej, nie namyślaj się, czyń, co ci nakazuje pamięć nieodżałowanego ojca naszego! — rozkazał stanowczym głosem dzielny młodzieniec.—Prędzej, prędzej, nie ociągaj się!— przynaglał wchodzącego. - Dziś zabierzesz tylko głowę, jutro wrócisz i zabierzesz kadłub, nie chcę, żeby go wystawiano na widok publiczny. A musisz to czynić ogłędnie, żebyś nie wpadł w zastawione sidła! — zakończył.

Izones spełnił wszystko, co mu brat kazał. Z wielkim bólem w sercu wracał do domu.

— Co matka powie? co powie ta nasza ukochana? — rozmyślał.

Nic nie mówiąc, złożył u jej stóp sakwy ze złotem, oddając jej jak zwykle w szafarstwo.

Wkońcu złożył wór okrwawiony.

Zbladła nieszczęśliwa niewiasta.

— Tetos? — spytała drżącemi usty.

— Jego głowa...

— Ojciec i syn na ofiarę dla ludu — szepnęła rozbolałym głosem.

— Jutro mam zabrać jego ciało — rzekł Izones.

— Pojutrze. Jutro nie będzie żadnego z braci, żeby ci towarzyszył... — mówiła Ptahia.

I zaraz dodała:

— O straszni bogowie, oto już druga ofiara, nie żądajcie nad siły słabej niewiasty... Izonesie, zostaw mnie samą, idź do swoich obowiązków.

To rzekłszy, zebrała zakrzepłą krew z przyniesionej głowy, umieściła ją w maleńkiej urnie i postawiła na domowym ołtarzu.

Głowę, namaściwszy, obszyła w płótno pogrzebowe, złożyła w najpiękniejszą szkatułkę od klejnotów i umieściła jako najcenniejszą pamiątkę. Reszta nocy

i część dnia zeszła jej na tych smutnych obrządkach.

I nic nie zakłóciło porządku w domu żony Ptasenita. Nic, tylko Ptahia miała oczy więcej zapadłe, usta, zmuszające się do uśmiechu, miały wyraz bolesny, a całą postacią od czasu do czasu dreszcz wstrząsał.

Sługi i niewolnice mówiły:

– Biedna nasza pani!

– Chora, a nikomu przykrości nie czyni!

– Cierpi, a innych cierpienia koi...

Tymczasem Izones, doczekawszy się przybycia jednego z braci imieniem Sertys, poszedł następnej nocy, by uwolnić ciało swego brata. Poszedł i obok ciała Tetosa zastał omdlałego Rampsynita.

Uczynił z bratem naradę.

– Ratować trzeba tego co żyw! — rzekł Sertys.

– Ratować! — odrzekł Izones.

Jak rzekli, tak uczynili. Wydobyli najpierw omdlałego. Kosztowało ich to dużo trudu i ostrożności. Trzeba było bowiem wyrwać samotrzask wraz z kawałkiem gruntu. Uwolnić nieszczęśliwego inaczej

nie mogli. W ten sam sposób zabrali ciało Tetosa.

— Odnieść Rampsynita nie możemy, zdradzilibyśmy tajemnicę i zhańbili imię ojca...

Zgodzili się obadwaj bracia na jedno.

— Odnieś ciało Tetosa ukochanej matce, ja poszukam sposobu, ażeby oznajmić Ramie, że ojciec jej spoczywa pod murem — rzekł Izones.

— Idź, a niechaj cię bogowie chronią od niebezpieczeństwa! — odparł Sertys.

I uwiózł skrzętnie zwłoki Tetosa.

Izones skierował się ku świątyni Izydy.

VII.

Jak spełniono wolę Rampsynita.

Po długich staraniach najbieglejszych w sztuce lekarskiej i wszelkiej mądrości egipskiej, przywrócono do życia Rampsynita. Nie mógł on sobie zdać sprawy, jakim sposobem znalazł się w swojej sypialni. Nie wierzył też otaczającym go dworzanom, iż znaleziono go pod murem wielkiego budynku. Nie wierzył nawet ukochanej córce. Pokaleczone nogi i sa-

motrzask, jaki mu pokazano, wraz z wyrwanym z posadzki granitem, świadczyły doskonale, iż wszystkie męczarnie, jakie mu pozostały w pamięci, nie były wytworem jego wyobraźni.

— Ale jakim sposobem znaleziono mnie pod murem? — zadawał sobie pytanie.

Wodził oczyma po ścianie, w której znajdowały się drzwi do skarbca, i upewniał się, że tam nic nie naruszono.

— Nikt nie zna tajemnicy otwierania drzwi, nikt też wejść nie mógł. Ptasenit nie żyje, a ja nikomu się nie zwierzyłem... —upewniał się coraz więcej.—Musi więc być wejście od zewnątrz! Tak, z pewnością! Tamtędy zabierano moje złoto, tamtędy wszedł ten bez głowy, tamtędy i mnie wydobyto! — zakończył. — Ale jak?... kto?...

Te pytania go trapiły, odbierały mu sen i apetyt, opóźniały jego przyjście do zdrowia, o mało nawet nie przyprawiły o szaleństwo.

Nie pozwolił też nikomu czuwać przy sobie. Jedna tylko Rama miała wstęp dozwolony.

— Ona jedna tylko ma do mnie przywiązanie, ona jedna mnie nie zdradzi, gdybym się z czem choćby przez sen wygadał!

I w tem jednem się nie mylił.

Rama miała prawdziwe do ojca przywiązanie, z całem też poświęceniem przy nim czuwała. Ona jedna znosiła z poddaniem się i cierpliwością jego napady gniewu.

Rampsynit uspokoił się jakoś. W milczeniu przyjmował odwiedziny mędrców, doktorów i dworzan. W milczeniu słuchał opowiadań kapłanów, którzy, paląc ofiary i porozumiewając się z bogami, objawiali mu wolę Ozyrysa. Słuchał, a w myśli układał sobie:

— Niechno przyjdę do zdrowia, uchwycę ja tego złoczyńcę!

To znów przychodziło mu do głowy:

— Czy też ten bez głowy jest tam jeszcze! Ach, żebym mógł jak najprędzej osobiście się o tem przekonać... — wzdychał niepoprawny skąpiec.

Ale nogi pokaleczone i wszystkie męczarnie, jakie przebył, przykuty do swoich skarbów, nie pozwalały mu ruszyć się z miejsca.

Księżyc kilkakrotnie twarz swą srebrną na Egipt obrócił, a Rampsynit nie mógł powstać z łoża swego.

Nagle przyszła mu myśl. Uśmiechnął się do niej.

Kazał zwołać najznakomitszych mędrców i kapłanów, ministrów i urzędników. Kazał też być obecną córce swojej Ramie i ozwał się w te słowa:

— Czuję, że bogowie wkrótce mnie zabiorą, żeby umieścić obok brata mego Ozyrysa, nie chcę kraju mego zostawiać bez pana, a córki mej w sieroctwie. Postanowiłem więc ogłosić:

„Niechaj się zgłosi ten, co mnie z omdlenia uratował, uczynię go następcą swoim i dam mu ukochaną swą Ramę za żonę".

Rama oblała się szkarłatnym rumieńcem. Wiedziała bowiem, kto uratował życie jej ojcu. Szczęśliwa była z tego i drżała zarazem jakimś nieznanym sobie i nieokreślonym lękiem.

Mędrcowie zaś i kapłani, ministrowie i urzędnicy pochylili głowy na znak uznania mądrości i woli królewskiej. Najstarszy zaś rzekł:

— Wielkim byłeś, jesteś i będziesz, o Rampsynicie, bracie Ozyrysa.

Zaraz też wydano rozkaz, by heroldowie przy odgłosie bębna, na wszystkich rynkach i placach stolicy ogłosili wolę królewską.

Powstały niesłychane szmery. Ludzie z zaciekawieniem rozpytywali się, gdzie jest ten, co ma być następcą wielkiego Rampsynita.

Upłynęły trzy dni, nikt się nie zjawił. Rampsynit z wielką niecierpliwością zapytywał:

— A co?

— Niema nikogo — odpowiadano.

Dziwił się Rampsynit, dziwili się kapłani i mędrcowie, ministrowie, urzędnicy i dworzanie. Kandydata na królewskiego następcę jak nie było, tak nie było.

Nie dziwiła się tylko Rama, lecz myślała sobie:

— Co uczynił, uczynił nie dla nagrody lecz dlatego, że tak powinien był czynić.

I serce jej kołatało wewnętrznem zadowoleniem.

Rampsynit niecierpliwił się, a w duszy myślał:

— Pewnie to ten sam zbrodniarz, który zabierał moje złoto... ale któż był ten bez głowy?...

Gdy upłynęły jeszcze trzy dni, a nikt się nie zjawił, Rampsynit rzekł:

— Ogłosić moją wolę nietylko po wszystkich miastach mojego państwa, ale po wszystkich drogach, po wszystkich polach, gdzie zbierają zboże, po wszystkich nowozasadzonych sadach i gajach.

Spełniono wolę królewską.

A było to, gdy księżyc zaledwie maleńki sierp na niebie położył. I oto nie zdążył jeszcze do połowy lica swego ukazać, gdy oznajmiono:

— Przybył ten, któregoś, o królu, wzywał!

Rampsynitowi oczy zabłysły radością.

— Dowiem się nareszcie, kto był sprawcą mych trosk, kto mój skarb podbierał! — szepnął sobie.

I zapominając o swej obietnicy lubował się już w myśli, że będzie mógł nasycić się zemstą.

— Sprowadzić go tutaj! — rozkazał.

I zaraz cofnął rozkaz.

— Przenieście mnie do sali audjencjonalnej.

Że zaś przenoszono go codziennie i tam odbywały się wszelkie narady, nikt się temu nie dziwił. Podziwiano tylko mądrość i szlachetność Rampsynita, że z taką skwapliwością chce spełnić wolę swoją. Z zachowaniem też wszelkich przepisów przy wielkich uroczystościach wniesiono króla do sali audjencjonalnej. Kapłani i mędrcowie, ministrowie i urzędnicy, dworzanie, służba i niewolnicy otaczali lektykę monarchy. Najbliżej szła Rama, ukochana jego córka.

Ta, spojrzawszy na stojącego u wejścia z przedsionka młodzieńca, zadrżała. Poznała w nim Izonesa, który jej w wielu dobroczynnych dziełach pomagał, który tak jak ona koił nędzę i głód cierpiących.

— Jeżeli to on podbierał skarb mego ojca — był sprawcą trosk jego i smutku — zgubiony — myślała.

I zaraz głos jakiś począł ją uspokajać.

— Ocalił ojcu twemu życie i za to ma otrzymać nagrodę!...

I Rampsynit zadrżał.

Zadrżał, wielkim przejęty lękiem, poglądał na stojącego z należnem uszanowaniem młodzieńca.

Izones był nadzwyczajnie podobny do ojca...

Rampsynitowi zdawało się w tej chwili, że Ptasenit w własnej osobie przed nim stanął.

— Ależ to być nie może, własną ręką śmierć mu zadałem! — pomyślał.

A zaledwie tak pomyślał, zdawało mu się, że tuż przy nim, przy jego lektyce stoi kadłub z uciętą głową, i krwią, saczącą się ze świeżej rany bryzga na niego.

Nagle zdało mu się, że nogi jego wpadają w samotrzask... że przechodzi wszelkie męczarnie, które wtedy przechodził. Wyciągnął rękę, krzyknął z całej siły i opadł na poduszki lektyki.

Lekarze rzucili się, by go ratować. Lecz kapłani i mędrcy odsunęli ich.

— Ozyrys powołał brata swego ku sobie! — rzekli.

Odsunęli wszystkich od ciała zmarłego. Odsunęli nawet ukochaną jego córkę Ramę, mówiąc:

— Do nas należy przeprowadzenie Rampsynita do królestwa Ozyrysowego.

Zajęto się wspaniałością pogrzebu.

Najemne płaczki rozbiegły się po stolicy i najdalszych zakątkach kraju, ogłaszając:

— Rampsynit, nieśmiertelny Rampsynit, poszedł na mieszkanie do brata swego Ozyrysa!

Inne zaś głosiły:

— Dusza Rampsynita przeszła w skromnego i szlachetnego młodzieńca, którego zięciem swoim, mężem ukochanej córki Ramy i następcą swoim za życia naznaczył.

Czy dusza wielkiego Rampsynita w skromnego młodzieńca przeszła, wątpić należy. To pewna tylko, że Rama poślubiła Izonesa, który rozpoczął nową dynastję i pod imieniem Ramzesa Wielkiego mądrze i sprawiedliwie władał.

Skarbiec przez Rampsynita przygotowany, stał się teraz prawdziwym skarb-

cem. Rama kazała napełnić go zbożem. A gdy przyszły chwile ciężkie dla ludu, gdy Nil wylewem swoim nie użyznił ziemi, ze skarbca tego czerpano zboże i rozdawano zgłodniałym.

Budynek ten w długie przetrwał lata. Zwany był:

„SKARBCEM CÓRY KRÓLEWSKIEJ"

Koniec.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Str.

I. Jak król Rampsynit wynagrodził Ptasenita? 5

II. Na co król przeznaczył budowle Ptasenita? 20

III. Co rzekła Ptahia synom swoim? . 30

IV. Co spotkało Rampsynita? 39

V. Co usłyszała i co uczyniła Rama? . 44

VI. Kto uwolnił Rampsynita? . . . 50

VII. Jak spełniono wolę Rampsynita . . 56